Nr. 256. Lwów — Piątek dnia 7 Listopada. **Rok 1902.**

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 8 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h.
w Niemczech . . . . . 3 „ — „
w innych Państwach . . 4 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 „
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k
Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h
na prowincyi . . . . . . 12 h
Numera z poprzednich dni po 20 h.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Schönwalskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.
Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h.
W drobnych ogłoszeniach: tłustym petitem za każde słowo 4 h. tłustym garmondem „ 6 h. koresp. prywatne „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce 60 h.
Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k.
Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h.

Dziś: św. Herkulana, Marcyana M. | Jutro: 4 Koronatów M., Demetryusza M. | Adres Redakcyi i Administracyi Lwów, ul. Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.** | Wschód słońca o g. 7 m. 8, Zachód „ „ 4 m. 25 | Długość dnia godzin 9 minut 22. Ubyło dnia od wczoraj 3 min.

Wybory szląskie.

Świeżo odbyte wybory z kuryi gmin wiejskich na Szląsku skończyły się porażką dla nas, albowiem z trzech narodowych kandydatów polskich: Michejdy, Cieńciały i X. Londzina (w miejsce śp. X. Świeżego), postawionych w okręgach: bielskim, cieszyńskim i fryszteckim, utrzymali się tylko dwaj pierwsi, zaś X. Londzin pozostał w mniejszości przeciw Janowi Halfarowi, który jest wprawdzie chłopem polskim, ale idzie z Niemcami i był ich kandydatem. X. Londzinowi brakło 25 głosów do absolutnej większości; otrzymał zaś 136 głosów.

Tak się przedstawia zewnętrznie wynik tych wyborów. Pobudza on do refleksyi w dwojakim kierunku: po pierwsze co do następstw, jakie on za sobą pociągnie, powtóre co do przyczyn, jakie go wywołały.

Co się tyczy następstw, to będą one niezawodnie dla Polaków na Szląsku fatalne. W Sejmie szląskim dotychczas było 6 posłów słowiańskich, trzech polskich a trzech czeskich i tworzyli oni opozycyę przeciw większości niemieckiej, złożonej z 25 członków. Liczba ich oczywiście nie wystarczała do skutecznego oporu przeciw całemu kierunkowi uchwał sejmowych, ale zapewniała posłom słowiańskim jedną posadę w Wydziale krajowym szląskim, którą piastował naprzemian to Polak, to Czech. Obecnie właśnie miał wejść do Wydziału krajowego Polak. Była to w każdym razie korzyść niemała, teraz wobec wyniku wyborów jest ona zakwestyonowana. Następnie z wszech względów należy, że czescy posłowie, którzy w dotychczasowej liczbie trzech weszli do nowego Sejmu, będą mieli w grupie posłów słowiańskich przewagę nad Polakami, podczas gdy dawniej była między nimi równowaga sił. Wobec niejednokrotnych przykrych doświadczeń, jakie porobili Polacy szląscy w pożyciu z Czechami tamtejszymi i ten stosunek budzi pewne obawy.

Co zaś do przyczyn upadku kandydatury X. Londzina, to główna leży w tym nieszczęsnym braku solidarności, który zawsze narodowi naszemu daje się we znaki i osłabia jego siłę polityczną. Gdy Komitet centralny po śmierci X. Świeżego postawił kandydaturę zasłużonego sekretarza „Macierzy szkolnej", X. Józefa Londzina, wnet stronnictwo radykalne, którego organem jest *Głos ludu szląskiego*, zerwało solidarność z tym komitetem i polecało na własną rękę jako kandydata, redaktora wymienionego pisma, p. Friedla. Komitet centralny z bardzo rozumnych pobudek odrzucił tę kandydaturę. Po pierwsze był p. Friedel stawiany jako kandydat jeszcze za życia X. Świeżego, a więc z wyraźnym zamiarem wybrania go przeciw dotychczasowemu, zasłużonemu posłowi. Następnie p. Friedel należy do stronnictwa, które walczy z Czechami, a zatem nie mógłby postępować w Sejmie solidarnie z posłami czeskimi, a jednak taki sojusz jest niezbędny. Wreszcie kandydatura Friedla miała mało szans, zwłaszcza, że było pewnem, iż Czesi jego głosów swych nie oddadzą, a tak stało się w istocie. Ostatecznie też mogło to mieć ten skutek, że rozbije głosy polskie i przyczyni się do zwycięstwa kandydata niemieckiego.

Ubolewać wypada, że te argumenty, tak doniosłe, jasne i ważkie, nie przemówiły do przekonania kierowników stronnictwa radykalnego. W *Głosie ludu szląskiego* starano się je osłabić, zapewniano, że p. Friedel ma szanse zwycięstwa, że nawet gdyby go nie wybrano, to odbierze głosy kandydatowi niemieckiemu, a nie polskiemu, i w ogóle wszczęto w niektórych gminach agitacyę dla zerwania sojuszu z Czechami. Tym sposobem przytłumiono głos sumienia politycznego wielu wyborców, tak, że oni w zerwaniu solidarności z komitetem nie widzieli niebezpieczeństwa narodowego, lecz tylko sprawę partyjną. Co rozumni politycy przewidywali, to się stało: Niemcy skorzystali z rozdwojenia Polaków i przeforsowali swego kandydata.

A jeszcze w jednym punkcie okazała się szkodliwość sposobu, w jaki agituje stronnictwo radykalne. Podkopując w chłopach zaufanie do innych warstw społecznych, czyni ich ono niezmiernie przystępnymi dla hasła, że chłopi powinni wybierać tylko chłopa — i cóż się stało? Oto skorzystali z tego Niemcy, podstawili jako kandydata chłopa pochodzenia polskiego, a wielu łatwowiernych włościan polskich uwierzyło, że jest to kandydat polski i głosowało na niego tylko dlatego, że to chłop. To są owoce agitacyi, która chłopów usiłuje usposobić nieufnie do każdego, który nie jest chłopem. Korzystają z tego tylko wrogowie naszego narodu.

Sprawy polskie na Szląsku będą więc teraz słabszą miały obronę w sejmie krajowym. Rzeczą będzie delegacyi naszej w Wiedniu oraz całego społeczeństwa postarać się, aby szkody, jakie stąd dla polskości na Szląsku wyniknąć mogą, zredukować do jak najmniejszej miary.

Kościół a państwo we Francyi.

Głównym postulatem radykalnych stronnictw we Francyi jest zerwanie konkordatu ze Stolicą Apostolską, skasowanie budżetu wyznań, zniesienie ministeryum wyznań, a więc uznanie, że wszystkie religie są zupełnie wolne i państwo niema z niemi nic wspólnego. Niech one krzewią się, jak się im podoba, byle się trzymały granic ustawy o stowarzyszeniach. A ta ustawa jest jedna zarówno dla związków naukowych, jak politycznych, zawodowych, czy parafialnych. Zdaniem francuskich radykałów, nie ma etycznej różnicy między stowarzyszeniem naprzykład białoskórników, a stowarzyszeniem religijnem. Zrobili oni wielki krok w tym kierunku, przeprowadzając przez p. Combes, obrawszy go rozjemcą w sprawie między właścicielami kopalń węgla a robotnikami, lecz był w tem zarazem podstęp. Jeżeli p. Combes nie załatwi zatargu, to się skompromituje i zejdzie z tej sytuacyi. Żeby zaś mógł załatwić, potrzebuje pomocy wodzów socyalizmu, ich życzliwego wpływu na strajkujących węglarzy. Otóż oni przyrzekają mu swe mocne poparcie, gotowi są zrobić go bohaterem, lecz w zamian żądają przyrzeczenia, że do parlamentu wniesie projekt ustawy o oddzieleniu wszystkich spraw wyznaniowych od państwa. Masoni są za tem, ale przeciw temu jest polityka zewnętrzna. Państwo ciągnie wielkie zyski z tego, że Francya posiada protektorat nad katolikami na wschodzie i dalekim wschodzie. Dlatego minister spraw zagranicznych p. Delcassé jest przeciwnikiem rozdziału między Kościołem a państwem, jego więc przedewszystkiem trzeba wywrócić i oto radykalno-socyalistyczna większość w parlamencie już podkłada podeń miny w sprawie traktatu z Syamem. Jeżeli Delcassé ustąpi, to jedynie z powodu Syamu, ale jego miejsce zajmie zwolennik zerwania konkordatu. Wszystko jest dobrze zamaskowane. Takim samym przeciwnikiem oddzielenia Kościoła od państwa jest minister finansów Rouvier, więc i on musi ustąpić, w tym zatem celu socyaliści i radykałowie odrzucają jego projekt takiego ograniczenia gorzelń rolniczych, aby one, wskutek przyznanych im ulg, nie uszczuplały dochody fiskusu. Socyaliści bronią zatem rolnikom prawa posiadania gorzelni, „obszarników!". Co im do Hekuby! A tylko to, że Rouvier, jako zwolennik konkordatu, musi ustąpić miejsca zwolennikowi zniesienia budżetu i ministeryum wyznań, a więc oddzielenia Kościoła od państwa.

Ze skarbu państwa pobierają pensye nietylko xięża, lecz także pastorowie wszelkich sekt protestanckich, popi greccy w Marsylii i rabini. Xięża pobierają tę pensyę jako ekwiwalent za zabrane im przez Napoleona I fundusze i parafialne grunta, a duchowni innych wyznań pobierają tę pensyę dlatego, żeby była równość. Mniejsza o to, że republika popisała się w tym wypadku równością kosztem religijnego funduszu, zabranego katolikom. Ale czy będzie wolność religijna po oddzieleniu wyznaniowych spraw od państwa?

Wiadomo, co na podstawie doświadczeń mogą o tem myśleć katolicy. Oni wiedzą, że radykalno-socyalistycznej większości nie o wolność chodzi dla katolików, ale o ostateczne zrabowanie funduszu, z którego jeszcze muszą dawać co roku 40 milionów fr. na pensye dla duchowieństwa i inne kościelne potrzeby. Redakcya *Figara* okólnikiem zapytała pastorów, co oni myślą o oddzieleniu wyznań od państwa? Wszycy oni odpowiedzieli, że jeżeliby dano wolność, to dobrze, ale bardzo jest wątpliwe, żeby ona była dana. Owszem, widocznie chodzi o nowy środek gnębienia religii.

Sienkiewicz o hakatyzmie.

W dwóch bardzo poważnych i wpływowych czasopismach, w londyńskiem *Contemporary Review* i nowojorskiem *Mc Clures Magazine* rozpoczęła się publikacya wybitnego męża stanu i publicysty angielskiego o hakatyzmie i oporze przeciw niemu Polaków w Prusiech. Studyum to, oparte na materyałach statystycznych, poprzedza wymowny list Henryka Sienkiewicza. Przedmowę tę podajemy w całości:

Gdyby artykuł, poniżej zamieszczony, wyszedł z pod pióra polskiego pisarza, niewątpliwie szowinistyczna prasa w Prusiech nie omieszkałaby rozgłosić, że tak przedstawiać stosunki mógł tylko Polak i że czytelnik nie znajdzie w nim nic prócz stronniczości i przesady. Ale oto pióro polskie nie brało w samej pracy żadnego udziału, jeżeli zaś ja dodaję do niej kilka słów wstępu, to jedynie dlatego, by zaznaczyć, że tak właśnie przedstawił sprawę nie Polak, ale cudzoziemiec, a nadto pisarz znany z rozwagi, umiarkowania i sumienności, który był długi czas na miejscu i badał stosunki polsko-pruskie osobiście. Jednocześnie zaś chcę zaświadczyć i stwierdzić, że to wszystko, co chrześcijaninowi i człowiekowi ucywilizowanemu wyda się może w tych stosunkach niedopuszczalną w XX wieku potwornością, jest, niestety, ścisłą, objektywną prawdą i zarazem polityką, praktykowaną codziennie w dzielnicach polskich, przynależących do monarchii pruskiej.

Rząd pruski, dla osłonienia hańby i usprawiedliwienia prześladowań, jakich dopuszcza się w dzielnicach polskich, powołuje się na tak zwane „niebezpieczeństwo polskie", jakie grozi niby całej Rzeszy niemieckiej od Polaków. Czy takie niebezpieczeństwo rzeczywiście istnieje? Czy kilka milionów ludności polskiej, żyjącej pod berłem pruskiem, może być powodem obawy i strachu dla sześćdziesięciomilionowych Niemiec, zorganizowanych tak potężnie, zarówno militarnie, jak społecznie? Odpowiedź może być tylko następująca: albo powoływanie się na „niebezpieczeństwo polskie" jest bezgraniczną małodusznością, albo hipokryzyą ze strony rządu pruskiego. Na jedno z tych dwóch przypuszczeń trzeba się zgodzić, albowiem jakiekolwiek tego rodzaju niebezpieczeństwo mogłoby istnieć tylko w takim razie, gdyby Polacy, zamieszkali na zewnątrz Prus, zamiast należeć do Rosyi i Austryi, tworzyli silne, samodzielne państwo, mogące zaważyć na szalach polityki europejskiej.

A zatem niebezpieczeństwo polskie nie istnieje? Owszem. Ale jest ono zupełnie innego rodzaju, niż je przedstawiają płytcy mężowie stanu pruscy. Pisząc niegdyś o tych stosunkach, powołałem się na niemieckiego myśliciela Holzendorfa, który mówiąc o Prusach, powiada, że złudzeniem jest, aby niemoralna polityka mogła nie zdeprawować w ciągu lat całej ludności danego państwa. I oto jest niebezpieczeństwo. Polityka państwa pruskiego od początku jego istnienia była niemoralną do tego stopnia, że nawet w XVIII wieku, to jest w epoce największego upadku publicznego sumienia, Prusy trzymały prym między państwami europejskiemi. Przykład szedł ciągle z góry. Mniejsza o to, że Fryderyk II — którego pomnik ofiarowano świeżo szlachetnemu ludowi amerykańskiemu — nie mógłby być, jako człowiek prywatny, nie powieszonym w Anglii i Ameryce za potworne wszelkiego rodzaju występki — ale był on zarazem, mimo całego podziwu, jaki ma dla niego Carlyle, najbezwstydniejszym szalbierzem politycznym nowszych czasów. Wkrótce potem Napoleon piętnował głośno *fidem punicam* pruską, twierdząc, że wobec wiarołomstwa rządu pruskiego, wszelkie traktaty z nim zawierane nie mają najmniejszej realnej wartości. W stosunku do Polaków, od czasów tegoż Fryderyka polityka pruska była do tego stopnia wiarołomną, brutalną i pozbawioną wstydu, że wprost nie ma dla niej porównania — w ostatnich zaś czasach stawała się tem haniebniejszą, im bardziej państwo, rosnąc w potęgę, było pewniejsze zupełnej bezkarności.

Fryderyk Wilhelm III zagwarantował publicznie Polakom słowem królewskiem, danem w imieniu własnem i następców, poszanowanie dla ich religii, narodowości i języka. Zdawałoby się, że wobec takiego słowa, które angażuje honor dynastyi i państwa, nie może być mowy o jego niedotrzymaniu; zdawałoby się, że jeżeli prywatny człowiek poczytywałby sobie za wstyd i hańbę złamanie publicznej obietnicy, — tembardziej cofnąć się powinni przed taką hańbą ci, których Opatrzność uczyniła piastunami honoru, nietylko osobistego lub rodzinnego, ale narodowego. Otóż, jak dotrzymuje się tego królewskiego słowa i tych publicznych zobowiązań, niech na to odpowie poniższy artykuł angielskiego pisarza. Poznawszy go, angielski lub amerykański czytelnik wyrobi sobie najdokładniejsze pojęcie o moralności polityki pruskiej i o losie Polaków, zmuszonych żyć pod pruskiem berłem.

Ale nie trzeba powoływać się na Holzendorfa, by zrozumieć, że tego rodzaju polityka musiała się odbić najfatalniej na duszy społecznej pruskiej. Rząd przyzwyczaił swych poddanych do myśli, że siła panuje nad prawem, że zobowiązań można nie dotrzymywać, słowo królewskie, a z nim honor narodowy podeptać, że giąć należy się tylko przed silniejszym, względem słabszych zaś, do których należą Polacy, można się niczem nie krępować. I oczywiście, w takiej szkole zbiorowa dusza pruska zatraciła do wysokiego stopnia zmysł moralny, zmysł prawdy i sprawiedliwości, i w znacznej części tem właśnie można objaśnić te potworne sprawy, o których autor poniżej pisze. Silne organizmy opierają się zwycięsko rozmaitym chorobom, być więc może, że i to zdeprawowane obecnie społeczeństwo potrafi odzyskać w przyszłości zdrowie — ale tymczasem ta zgnilizna moralna stanowi istotne niebezpieczeństwo, — które polskiem można nazwać dlatego, że jeśli nie z winy, to z powodu Polaków zagraża ono duszy niemieckiej.

Była chwila na początku panowania obecnego cesarza, w której zdawało się, iż zrozumiano, że trzeba otworzyć w pruskim gmachu okno i wpuścić do budynku nieco zdrowszego powietrza. Zrozumienie tej potrzeby, zrozumienie umoralnienia siły, zdawało się być nawet nietylko wielkim dziejowym celem, ale misyą nowego panowania. Wówczas polepszyły się i stosunki polsko-pruskie. — Ale chwila ta trwała krótko. Cesarz spostrzegł się, że zadaniu nie podoła, a wraz z powrotem do bismarkowskich idei, stosunki z Polakami zaogniły się na nowo, do czego przyczyniła się i agitacya z Warzina. Znakomity Rudyard Kipling powiada w swojej „Księdze Puszczy", że jadowite węże przeżywają na starość swój jad. Z Bismarkiem było przeciwnie. Przeżył on swą potęgę, swą władzę, swą sławę, ale nie przeżył jadu, którym pod koniec życia obryzgał swych następców, dynastyę, samego cesarza, a przedewszystkiem społeczeństwo polskie. Lecz, gdy nienawiść jego do własnego monarchy zmuszona była poniekąd karmić się własnem ciałem, jedynem polem, na którem mogła jeszcze siać i zbierać, był stosunek państwa i społeczeństwa niemieckiego do Polaków. Nie przestał też szczwać do końca życia, a gdy wreszcie wielka żmija pękła, zrodziły się z niej całe setki małych żmijątek i w ten sposób powstało „Towarzystwo Hakaty", które rozjątrzyło do stopnia jeszcze wyższego stare rany. Mieni się ono Towarzystwem patryotycznem, pracuje niby dla Prus i Niemiec, tymczasem rezultaty dotychczasowe są następujące: 1) rozterka wewnętrzna w państwie, 2) jedna więcej karta w dziejach Prus, uznana przez cały świat ucywilizowany za haniebną; 3) cień rzucony na panowanie Wilhelma II, któremu historya bądź co bądź już nie zapomni, że pod jego berłem katowano dzieci — i nie omieszka przeprowadzić paraleli między tą potwornością a rzeziami, tolerowanemi przez Abdul Hamida w Armenii. Oto, co dotychczas zawdzięczają „Towarzystwu Hakaty" państwo i cesarz — i żaden Niemiec nie może zaprzeczyć, że tak jest.

Autor poniższej pracy wymienia i inne wszelkiego rodzaju krzywdy i uciski, którym podlegają Polacy pod berłem pruskiem. Niewątpliwie też Anglik lub Amerykanin, czytając o nich ze zdumieniem, zada sobie pytanie gdzie podział się wstyd na świecie i czy tego rodzaju stosunki mogą istnieć w XX wieku wśród starej cywilizacyi europejskiej? Co do mnie, dodam tylko, że owe krzywdy i prześladowania spadają na ludność pracowitą, trzeźwą, bardzo moralną, bardzo gospodarną, która nie czyniła nigdy powstania przeciw państwu, a która, wedle świadectwa samychże jenerałów pruskich, dostarcza najbitniejszego armii pruskiej żołnierza.

Jak długo potrwa podobna polityka, trudno przewidzieć, ale z ludzkiego i historycznego punktu widzenia, zbyt długiego żywota przepowiadać jej nie można, jest to bowiem polityka nie rozumu, ale szowinizmu i namiętności, zarówno brutalnych, jak głupich. O tej jej stronie pisałem już gdzieindziej, obecnie mogę się więc ograniczyć na jednej jeszcze tylko uwadze. Gdyby nawet owa polityka była racyonalną, jest pewien sąd wyższy ponad wszelkie doraźne racye stanu — sąd chrześcijańskich sumień ludzkich — a gdy chodzi o krzywdy, czynione najdroższym uczuciom, takim, jak przywiązanie do wiary, narodowości i języka — gdy chodzi o krew i łzy dzieci i matek, wyrok tego sądu nie może być wątpliwy.

Co do nas — przetrwamy.

Henryk Sienkiewicz.

Polskie ołówki.

W chwili, gdy w Polsce rozległo się hasło rugowania o ile możności wyrobów przemysłu niemieckiego i zastępowania ich polskimi, w wielu dziedzinach ujawnił się już dość wielki postęp w tym kierunku.

Jednym z takich przedmiotów, o których do niedawna publiczność nasza prawie, że nie wiedziała, iż są wyrabiane także przez fabryki polskie, a które teraz w znacznej części sprowadza się od Polaków, jest ołówek. W ostatnich kilku miesiącach rozpowszechniły się w Galicyi i stały się popularnymi ołówki Majewskiego z Warszawy, głównie dzięki wystąpieniu młodzieży szkolnej i akademickiej, która z całą stanowczością poczęła domagać się od kupców sprowadzania ołówków polskich. Dowiadujemy się, że świeżo fabryka St. Majewski i S-ka otrzymała w kraju naszym zamówienie na 12.000 koron. Znawcy stosunków obliczają

---

1)

ALEKSANDRA SUSZCZYŃSKA.

MEFISTO

Powieść współczesna

Był maj. Wiosenne słońce przygrzewało na dobre, tak, że trawy pourastały już wysoko, drzewa przybrały się w obfitą zieleń, a bzy stały w kwiecie i rozlewały w powietrzu woń ożywczą i słodką.

Do ogródka weszła młoda dziewczyna, aby narwać bzu. W różowej rannej bluzie, z rozpuszczonemi na plecy włosami, które w słońcu mieniły się niby fala złota, obnażonemi po łokcie rękami sięgała po kiście kwiatów najpełniejsze, najbardziej rozkwitłe i zerwane opuszczała na ziemię, aby z nich potem ułożyć bukiet. Białe kwiaty leżały dokoła jej stóp, a ona, w słońcu cała, olśniewająco jasna, uśmiechała się do kwiatów, do słońca, do świata całego, który jej się wydawał piękny i uroczy, we mgle różowej przed nią stojący.

Drzwiczki skrzypnęły i na ścieżce ukazał się młody mężczyzna, który ujrzawszy jasną postać dziewczyny, zatrzymał się, zdjął kapelusz z głowy i rzekł:

— Przepraszam najmocniej.

Ona spojrzała na niego ciekawie i opuszczając ręce, wzdłuż których opadły szerokie rękawy sukni, spytała grzecznie:

— Czego pan sobie życzy?

— Przeczytałem na bramie od ulicy kartkę, iż w tym domu jest mieszkanie do wynajęcia.

— Jest.

— Ja właśnie poszukuję mieszkania.

— Są trzy pokoje, przedpokój i kuchnia.

— Czy mógłbym je obejrzeć?

— Bardzo proszę. Pan będzie łaskaw zaczekać chwilę, pójdę po klucze.

Poszła prędko do domu, który stał w głębi ogrodu i wchodząc śpiesznie do pokoju, zawołała:

— Babuniu, jakiś pan chce mieszkanie wynająć.

Ale nie czekając odpowiedzi, wbiegła do swego pokoju, wzięła pęk kluczy wiszących na ścianie i wyszła do ogródka. Zdaleka już dojrzała, iż nieznajomy, przyklęknąwszy, pozbierał kwiaty rozsypane po ziemi i układał je w bukiet. Zanim doszła, młody człowiek związał bukiet nitką trawy, położył go na ławce i kierując się ku niej, gdy mu dziękowała skinieniem głowy, rzekł, jakby się tłómacząc:

— Szkoda kwiatów, które leżą na ziemi.

Jej się te słowa podobały, ale nic nie odpowiedziała, bo nieznajomy otwierał już drzwiczki od ogródka i zatrzymał się, by ją przepuścić, więc poszła prędko przez podwórko ku frontowemu domkowi, pobrzękując kluczami.

— Czy to pani odnajmuje?

— Nie. Ja tu gospodarzę jedynie.

Oglądał uważnie mieszkanie. Zatrzymał się chwilę u okna jadalnego pokoju, które wychodziło na podwórze, wprost ogródka, otaczającego oficynę.

— W tej oficynie kto mieszka, czy wolno wiedzieć.

— Moja babka i ja.

Przeszedł się jeszcze raz po pokojach, przepraszając, że może jej czas zajmuje, i spytał:

— Jaka cena?

— Dwieście rubli rocznie.

— Mnie się to mieszkanie bardzo podoba, proszę pani. — Chętnie je wezmę.

— W takim razie proszę, niech pan z babunią się rozmówi ostatecznie.

Babunia przyjęła nieznajomego bardzo uprzejmie.

— Proszę siadać, bardzo proszę.

Poprawiła okularów, poruszyła zielony daszek nad oczyma, wsunęła się głębiej w fotel i splotła ręce na kolanach.

— To pan życzy sobie moją kwaterę wynająć.

— Tak, proszę pani.

— A czy to pan Warszawiak?

Uśmiechnął się pod wąsem.

— Nie, pani, ale długi czas przebywałem w Warszawie.

— A jak godność pana?—spytała staruszka.

— Wiktor Dembicki — rzekł z ukłonem.

Staruszka poruszyła się żywo na fotelu.

— Znam... znam... A z których-to Dembickich? czy nie z Poniewieskiego?

— A których szanowna pani zna — bo tam są Janowie Dembiccy i Michałowie...

— O to to! Michał, Michał... jego żona Kiścianka z domu... piękna była panna i edukowana.

— To moi krewni.

— Krewni? aha! to pan i z Dukształami musi być skoligacony?

— W Dukształach spędziłem swe dzieciństwo.

— A, to tak... a to widzi pan piękna strona, dobra ziemia...

— To pani dobrodziejka tamte strony zna?

— Babunia całą Litwę i Żmujdź zna — wmieszała się młoda dziewczyna i, widząc, że babunia zamyśliła się o dawnych czasach i dawnych stosunkach, dodała:

— Babuniu, zatrzymujemy tak długo pana...

On zawołał żywo:

— Ależ proszę, bardzo proszę...

Ale babunia rzekła:

— Prawda. Pan dobrodziej starej wybaczy. To jakże? Czy chce pan moją kwaterę wziąć?

— Owszem, proszę pani.

— To i dobrze. Mnie przyjemnie będzie mieć takiego lokatora, z znanych rodów, starych.

— Czy mógłbym zaraz objąć mieszkanie?

— A zaraz.

— To bardzo dobrze. Stoję w hotelu i pilno mi jest urządzić się.

— Kwatera czysta, pięknie odrestaurowana, świeże obicia.

— Bardzo mi się podoba.

— To i dobrze. A czy pan na rok, czy na pół roku.

— Wolałbym z początku na pół roku.

— Jak pan sobie życzy. A cena...

— Wiem: dwieście rocznie. Czy pani każe z góry?

— Jak panu dobrodziejowi dogodniej. A czy pan wie, że trzeba będzie kontrakt podpisać. U nas to już taki zwyczaj.

— Nie mam nic przeciw temu.

— Choć ja wiem teraz z kim mam do czynienia — to i nie konieczne. Słowo to grunt. U mnie, jak słowo powiedziane, to i amen. Co tam podpisy. Słowo to grunt.

— Ależ chętnie podpiszę.

— To prosta formalność — rzekła młoda dziewczyna.

Przyniosła stemplowy papier, kałamarz i pióro.

— Moja wnuczka podpisze za mnie. Ja bo nie widzę.

— Uważałem, że szanowna pani...

— Nie dowidzę, nic prawie nie widzę. Widzę, że pan siedzi, ale twarzy pańskiej nie rozróżnię.

Westchnęła, pokiwała smutnie głową.

— Przepraszam, że zapytam o rodzaj zajęcia pańskiego.

— Jestem adwokat.

— Czy tak? A to pięknie. Ale to pan tu w Kownie będzie miał dużo kolegów! Strach! co tu adwokatów!

— Mnie to nie przeszkadza. Przyjechałem głównie, aby praktycznie się wykształcić w swoim zawodzie. Miałem rekomendacyę do p. Borowskiego.

— Do Borowskiego? toż to najpierwszy u nas adwokat, a panna Borowska to koleżanka z pensyi mojej wnuczki.

— Czy tak? Właśnie będę u niego praktykował.

— A to bardzo mi przyjemnie, że i znajomych wspólnych mamy, a i koligacyę pana pamiętam dobrze z dawnych czasów. Spodziewam się, że pan będzie zadowolony z kwatery a już co do powietrza, to w całem mieście takiego podwórza wielkiego niema, no, i sad wokoło. Latem to tu jak na wsi.

— Uważałem to. Istotnie, jak na wsi.

Wreszcie gawęda była skończona i p. Dembicki wyszedł.

Babunia była rozpromieniona.

(Ciąg dalszy nastąpi)

że przy pomyślnych warunkach, gdyby publiczność jeszcze liczniej, niż dotąd, przynaglała kupców do zaopatrywania się w wyrób polski, mogłaby fabryka Majewskiego zbywać rocznie w Galicyi ołówków za 50.000 koron, zauważyć bowiem należy, że fabryki niemieckie, jak Hardmuth w Wiedniu, Kurz, Lyra i Freischütz w Norymbergii, oraz Faber itd. sprzedają w kraju naszym ołówków za blisko 150 tysięcy koron. Wobec znacznej dobroci wyrobów firmy polskiej, takie bogacenie fabrykantów niemieckich z krzywdą polskich jest faktem nader upokarzającym i nie wątpimy, że niebawem zmieni się to na lepsze.

Warto przy tej sposobności zapoznać się nieco bliżej z historyą wyrobu ołówków w Polsce. Fabrykacya ołówków nowoczesnych datuje się od roku 1795, w którym Francuz Conté wynalazł sposób wyrabiania ich nie z naturalnych pręcików grafitu, lecz z pręcików sztucznych, uzyskiwanych z grafitu sproszkowanego, zmieszanego z gliną plastyczną. Od tej chwili przemysł ołówkowy w Europie wzrastał olbrzymio, zwłaszcza w Bawaryi, gdzie w samej Norymberdze produkcya roczna sięga 8½ mil. marek, a zatrudnionych jest przy niej 6000 robotników. Pierwsze też miejsce w tej dziedzinie przemysłu zajmują Niemcy, po nich idą Ameryka, Francya, Austrya i Anglia.

W naszym kraju były w ciągu wieku XIX parokrotne próby przeszczepienia tej gałęzi przemysłu, ale nie miały powodzenia, gdyż próbowano zakładać małe warsztaty, podczas gdy ołówki nadają się tylko do fabrykacyi przy pomocy milionowych kapitałów. Na początku czwartego 25-lecia wieku XIX-go istniała nawet w Królestwie polskiem fabryczka Szaomana, produkująca jednak bardzo mało. Dopiero w roku 1889 zaczęto fabrykować ołówki u nas na większą skalę. Założono w Warszawie fabrykę „Majewski, Zaborski i Starzeński", a jednocześnie firma norymberska „Staedtler et Comp." założyła filię również w Warszawie za rogatką belwederską. W r. 1890 w Wilnie Niemcy bracia Heymann założyli fabrykę, która z czasem przeszła w ręce Smarzaniewicza, prowadzącego interes pod nazwą „Fortuna". W roku 1892 powstała fabryka Gowszyna, która dwukrotnie upadła, aż wreszcie przeszła na własność Goldsobla, który ją prowadził pod firmą „Veritas".

Wszystkie te fabryki, mające do walczenia nietylko z olbrzymią konkurencyą zagraniczną, ale i z własną, nie miały powodzenia. Stan taki trwał do r. 1898. W tym roku Towarzystwo akcyjne zakupiło fabryki: Staedtlera w Rydze, „Fortuna" w Wilnie, fabrykę Majewski, Zaborski, Starzeński, „Veritas" Szaomana w Warszawie i zamierzało przez skupienie produkcyi w jednym ręku przeprowadzić sanacyę tej gałęzi przemysłu. Udało się to tylko po części, gdyż prawie jednocześnie założono jeszcze dwie fabryki: Nathera w Rydze i Landsmanna w Wilnie. Nie usunięto więc konkurencyi krajowej, ale zdołano ulepszyć wyrób, co umożliwia zwalczanie konkurencyi zagranicznej.

Obecnie jest fabryka Majewskiego i Ski w Pruszkowie jedyną fabryką ołówków w Królestwie polskiem. Produkuje ona 8000 sztuk dziennie, zatrudnia około 300 robotników, wyłącznie krajowców, pracujących przy 187 maszynach; opiera się wyłącznie na kapitałach polskich i posługuje się w zarządzie tylko Polakami. Życzyć wypada, aby publiczność polska należycie tę fabrykę poparła i umożliwiła jej prosperowanie.

Co i o czem piszą.

P. Feliks Jasieński, znany gorący wielbiciel sztuki i niezawodnie wytworny jej znawca, ale przytem człowiek cokolwiek za gwałtowny w bronieniu swoich zapatrywań a w zwalczaniu przeciwnych, urządził teraz wystawę skarbów swoich w Krakowie i w *Głosie Narodu* [illegible] publiczność za to, że niezbyt tłumnie odwiedza jego wystawę. Artykuł p. Jasieńskiego powtarzamy tu w głównych ustępach dosłownie, opuszczając tylko takie ustępy, które są czysto lokalne i nie mają ogólnego znaczenia. Ponieważ mu wypowiedziano wojnę, więc i on daje swojemu artykułowi tytuł „Wojna" i tak zaczyna:

Tak jest: wojna, — a właściwie — trzy... tymczasem. Dal-by Bóg, aby o te „Wojny" powstał cały szereg nowych — wojen o... sztukę. Gdybyśmy tak przez dwa tygodnie przestali wymyślać panu Koerberowi, lub broniąc go, co w rezultacie na jedno wychodzi, [illegible] — pisał Renan. Wymiana myśli o sztuce wpływa na podnoszenie się kultury. (Tylko nie głupich — panowie). Wystawiłem „Wojny" Goyi.

Przyszło mi na myśl: a gdyby tak wystawić „Wojnę" Valère Bernard'a i „Wojnę" Grottgera? Hiszpan, Francuz, Polak.

Trzy słynne a odmienne „Wojny".

Czy wy rozumiecie co to za kopalnia była może dla krytyków i myślącej publiczności, jaki szereg walk... bezkrwawych wyniknąć może ze starcia się zdań?

Zapomnijmy (przez dwa tygodnie tylko) o [illegible] i o... polityce. Niechaj redaktorowie nie odpowiadają ludziom, przynoszącym artykuły o sztuce: „wolelibyśmy „przyzwoite" morderstwo lub „porządne" wykolejenie się pociągu". Ja otworzę ogień. [illegible]

„Dobrze źle pan przyjechał: właśnie trzeba nawymyślać panu X.". Przepraszam, mówię: zajęty jestem otwarciem wystawy 27 e[illegible]. „Mój panie: pan jesteś od wymyślania, cóż to pan sobie myślisz?" — „Ha! cóż robić: wymyślamy, skoro jesteśmy [illegible] Grottgera, [illegible] Na to się nie odpowiada. [illegible] Goyi i Bernarda to są jedne syntezy artystów myślicieli. Epizody u Goyi to kartki książki. Epizody u Grottgera, to nowelki. Goya — to nie kalafiory, ani inna siemiradzczyzna. Zdradzę tajemnicę: tak jak ja, sądzi mnóstwo artystów i znawców, którzy nie myślą zupełnie zdradzać ojczyzny, ale mówiąc o sztuce, wyrzucają za dziesiątą granicę konfederatkowy patryotyzm. Pytacie, dlaczego tego nie mówią? Bo u nas wystarczy powiedzieć np., że Matejko nie był kolorystą, aby być okrzyczanym za łotra i zdrajcę. Jedni na to gwiżdżą, inni nie. A propos: w swoim czasie „nawymyślałem" również i Matejce. Ale stała się rzecz dziwna: gdy przyszło do dania pieniędzy na kupno Grunwaldu, ja dałem. Z wielbicieli Matejki, którzy chcieli mię wieszać (co najmniej) żaden nie dał ani grosza. Ciekawe, prawda?

A więc: wojna! czyli: kto ma co ciekawego w tej kwestyi do powiedzenia, niechaj mówi, tylko krótko. Ja zacząłem i... skończyłem. Fiat ruch!

Post-scriptum. Podsłuchane na linii A — B. X. Wiesz ty co? byłem na tej wystawie Jasieńskiego. — Z.: I cóż? — X.: Ależ to blaga wierutna: same papiery! i żadna akwaforta! — Z.: Cóżeś ty sobie wyobrażał? — X.: Ano, akwawita, akwawita, myślałem, że to jakaś nowa, kapitalna wódka. — Z.: A widzisz, to i ja myślałem, że ta Symfonia, to jakaś Litewska, która robiła kapitalną kiełbasę. Pokazało się, że to zwykły wierszoróbi i że ogólnie w dodatku wcale tak nie nazywa. — X.: Zawracanie gitary z tą sztuką: chodźmy do Hawełki na bombkę.

2. Post-scriptum. Przy tej sposobności pozwolę sobie zadać panu Ekielskiemu*) dwa pytania: 1) Jeżeli dom ma 46 okien frontu i dwa wejścia, w jakim wieku jest budowniczy? 2) Ile mtr. kwadratowych mają obrazy Rembrandta i Goyi razem wzięte? Cóż? milczysz Pan? Naturalnie! wszak przyznałeś, że Pan nie masz pojęcia o sztuce! nie jesteś Pan nawet dyletantem, jesteś pan marnym amatorem. Wybudowałeś pan kiedy choćby licha kamieniczę? a więc nie jesteś pan twórcą. I cóż się pan rozbijasz?

Redaktorze, rzekłem; ja muszę panu Ekielskiemu odpowiedzieć. Dam panu półtora wiersza, odpowiedział redaktor. Hm, półtora wiersza... rozwymyślać się na takiej przestrzeni; napisałem: Szanowny Panie nie-artysto, każ się pan wypchać i [illegible]. (P. Ekielskiemu w *Architekcie*, a mnie tutaj chodziło naturalnie o danie przykładu, jaka polemika być nie powinna.)

•

Tegoroczna premia Tow. Sztuk pięknych nie przypadła do gustu wielu właścicieli akcyj i z tego powodu rozgrywają się w kancelaryi Towarzystwa mniej lub więcej humorystyczne sceny. I tak naprzykład wchodzi pani jakaś w podeszłym wieku. Pan sekretarz, jak zawsze, nadzwyczaj uprzejmy i grzeczny, podaje jej reprodukcyę krajobrazu Ruszczyca. Pani zdumionym wzrokiem spogląda na premię, której absolutnie nie może zrozumieć, obraca arkusz na lewo, na prawo, do góry nogami i zapytuje: „Panie sekretarzu, co to przedstawia, bo niczego nie mogę się dorozumieć?" „To reprodukcya krajobrazu Ruszczyca, proszę pani i dodatkowo wiersz Kasprowicza na dole umieszczony, a pani dobrodziejka rozumie, co obraz przedstawia", odpowiada sekretarz. Pani kręci głową i zabiera się do wyjścia. Wchodzi służący i oddaje rulon sekretarzowi, mówiąc: „Państwo X. odsyłają premię, bo takiej przyjąć nie mogą". Sekretarz składa rulon do stosu odesłanych przez akcyonaryuszów premii. Jeszcze tu wchodzi listonosz i znowu przynosi kilka świeżo odesłanych rulonów z premiami. Jeszcze nie uporał się z listonoszem, gdy wpada starszy jegomość, wołając: „Ależ panie sekretarzu, co wy sobie myślicie, przysłać mi taką premię, ależ to są kpiny z ludzi!!!" Biedny sekretarz stara się uspokoić rozgniewanego radcę, rzuca premię na stół i niezjednany odchodzi. Nieśmiało wchodzi młoda osoba i zapytuje: „Proszę pana, chciałabym się pana zapytać, co właściwie ta premia przedstawia, bo ja z mamą śliczny [illegible] mama stanowczo twierdzi, że zaszła pomyłka i wydrukowano wiersz na innej reprodukcyi, bo mama powiada, że ten przysłany przedstawia morze i rzeczywiście widać tylko rozhukane ciemne bałwany".

Opowiadając o tem niepowodzeniu tegorocznej premii, pisze *Dziennik polski*:

„To, co się dzieje w kancelaryi Towarzystwa, słyszy się wszędzie, gdzie tylko ta niefortunna premia tegoroczna zawitała. Ludziska głowę sobie łamią, co mogło dyrekcyę towarzystwa zniewolić do wyboru podobnego obrazu na premię i mają słuszność, bo premia powinna być zrozumiałą dla wszystkich i wszystkich zadowolić. Nie wystarcza, żeby jakieś dzieło było dobre, lub było podpisane nazwiskiem cenionego malarza, żeby tem samem zasługiwało na wybór na premię. Obok dobroci dzieła sztuki, musi ono jeszcze być przystępne i zrozumiałe dla wszystkich, bo przecież akcyonaryusze nie składają się z samych snobów i kolekcyonarzy, [illegible] która ich oko zachwyci i którą z przyjemnością oprawią sobie w ramy. Skiby pooranej ziemi [illegible] pod burzą brzemiennemi [illegible] nie nie nadają się do [illegible] premię w szczególności [illegible] zakładu Paulussena [illegible], nie potrafi [illegible] nastroju podchwyconej [illegible] Ruszczyca — a bar[illegible] tu podobnego tematu; [illegible] cień, obraz już do [illegible] żeby zań przemówił Kasprowicz, którego [illegible]stwa uprosiła, by wi[illegible] plamę z łuną na ho[illegible] roczna premia. Rze[illegible] obrazić bardziej nie[illegible] który uczyniła dy[illegible] nam, że zewsząd do[illegible]cyę, która jest tak [illegible] zadanie. Przecież [illegible] pozyskać coraz to [illegible], a nie zrażać ich [illegible]

[illegible] *Dziennik Polski*, aby [illegible] zamiast rozdawać premię [illegible] kto jest zadowo[illegible] ilość różnych drobnych [illegible] szkiców, rysunków itd. [illegible] niewątpliwie byliby z [illegible] artyści, że kilkanaście [illegible] wpadnie do ich [illegible] wywozi się grosza z [illegible] akcyonaryusze, że [illegible] wygrania jakiej oryginalnej [illegible] artystów. Dzieł, zakupionych, jest tak mało, że można być latami i latami najwierniejszym akcyonaryuszem i nigdy najmniejszej rzeczy nie wygrać; gdy jednak Towarzystwo zakupi za 2—4000 koron, co zazwyczaj premia kosztuje w zakładzie zagranicznym, mnóstwo szkiców i ulotnych rysunków z podpisem, w cenie 10—30 koron, obok dzieł skończonych, zazwyczaj zakupywanych, wtedy szanse wygrania się wzmogą i akcyonaryusz przecie od czasu do czasu wygra, jeśli już nie obraz, to choć jakiś szkic lub rysuneczek, który zawsze w każdym domu byłby mile widziany.

*) P. Ekielski wystąpił w *Architekcie* przeciw p. Jasieńskiemu i nazwał go tam nie artystą, ale „amatorem". Stąd gniew p. Jasieńskiego. (Przyp. Red. *Przeglądu*).

Pojedynek posła Breitera.

Sekundanci pp. Breitera i porucznika Molnára ogłaszają następujący protokół i oświadczenie, którem kończy się ta afera pojedynkowa, ciągnąca się przeszło tydzień cały.

Protokół, spisany dnia 3 listopada 1902 roku w sprawie honorowej posła Ernesta Breitera i p. porucznika Ludwika v. Molnára z 12 p. huzarów.

Zastępcy posła Breitera oświadczają, „że p. Ernest Breiter żadną miarą nie chce dać żadnego innego oświadczenia, prócz następującego:

„Jako poseł do Rady państwa, nie jestem za mowy swoje odpowiedzialny i żadną miarą nie mogę być pociągany do odpowiedzialności. Jako człowiek prywatny oświadczam tylko, że w mojej mowie parlamentarnej w dniu 24 października 1902 wypowiedzianej, wyrazu „łobuz" (Lausbub) wcale nie kierowałem osobiście do p. porucznika Ludwika Molnára, tembardziej, że nie znałem ani stopnia wojskowego, ani nazwiska oficera, który pełnił służbę podczas galicyjskich strejków rolnych, nie miałem więc wcale zamiaru osobiście obrażać p. porucznika Ludwika Molnára".

Rotmistrz p. Artur Pongrácz i nadporucznik Władysław Ujházy stanowczo nie przyjmują tego oświadczenia, uważając je za zupełnie niedostateczne i zażądali do rozstrzygnięcia sprawy zakończenia jej pojedynkowego za ciężką obrazę oficera.

Na to pp. dr. Aleksander Czołowski i Edward Weber-Webersfeld odpowiadają:

„P. Ernest Breiter oświadczył nam, że wedle swego przekonania, piastując mandat poselski, nietylko jako poseł, ale i jako człowiek prywatny, nie może dać zadośćuczynienia pojedynkowego".

Na tem układy w sprawie między pp. porucznikiem Molnárem i posłem Breiterem zakończono.

Obie strony zastrzegły sobie prawo uczynienia z tego protokołu dowolnego użytku.

Dr. Aleksander Czołowski archiwaryusz m. Lwowa — *Artur v. Pongrács* c. k. rotmistrz 12 p. huzarów.
Edward Weber-Webersfeld rewident ksiąg miejskich, — *Władysław v. Ujházy* c. k. nadpor. 12 p. huzarów.

Oświadczenie.

Zastępcy p. Ernesta Breitera, posła do rady państwa, oświadczają:

Ponieważ przez klienta naszego po ostatniej odbytej z nim 2 bm. konferencyi w kwestyi załatwienia sprawy między p. Breiterem, a porucznikiem p. Molnárem zostaliśmy w pewnej mierze ograniczeni w udzielonem nam pełnomocnictwie, zawiadomiliśmy naszego klienta, że w razie, gdyby dzisiaj pertraktacye w sprawie porucznika Molnára i posła Breitera nie zostały zakończone, my mandat swój złożymy, dzięki czemu zapatrywanie nasze w tej sprawie honorowej w odpowiedniem staje oświetleniu.

Lwów, dn. 3 listopada 1902.
Dr. Aleksander Czołowski,
Edward Weber-Webersfeld.

Izba panów.

(*Telegramy „Przeglądu"*).

Wiedeń 6 listopada. W Izbie panów toczyła się wczoraj w dalszym ciągu dyskusya nad ustawą o handlu terminowym zbożem. Prezes ks. Windischgraetz stwierdził, że na ostatniem posiedzeniu przy głosowaniu imiennem nad wnioskiem Kotulińskiego, aby ustawa weszła w życie w dwa miesiące po opublikowaniu, — mylnie skonstatowano brak kompletu. Prezydent przeprasza za to Izbę, zawiadamia zarazem, że wniosek Kotulińskiego według rezultatu głosowania wówczas odrzucono, a § 25-ty w redakcyi Izby poselskiej przyjęto. Wniosek dodatkowy Lobkowitza odrzucono. Izba panów przyjęła następnie końcowe paragrafy ustawy o handlu terminowym według uchwał komisyi Izby panów, poczem przyjęła ustawę w trzeciem czytaniu. Kotulinsky i Lobkowitz wyrazili nadzieję, że w Izbie posłów ustawa otrzyma bardziej odpowiednie interesom agrarnym brzmienie, aniżeli to, jakie uchwalono w Izbie panów.

Wybory sejmowe w Austryi.

(*Telegramy „Przeglądu"*).

Wiedeń 6 listopada. Z 21 mandatów miasta Wiednia do sejmu dolno-austryackiego zdobyła partya chrześcijańsko-socyalna znaczną większością głosów 20 mandatów, a w jednym tylko okręgu wyborczym mianowicie Favoriten nastąpi wybór ściślejszy między chrześcijańsko-socyalnym kandydatem Prochaską, a socyalnym demokratą Adlerem.

W śródmieściu (6 mandatów) wybrano po raz pierwszy kandydatów chrześcijańsko-socyalnych. Między wybranymi są: burmistrz Lueger, obaj wiceburmistrze Strohbach i Neumayer, oraz ks. Liechtenstein.

Socyalny demokrata Seitz wybrany został w Floridsdorf.

Ogółem chrześcijańsko-socyalni zyskali w Wiedniu 6 mandatów od partyi niemiecko-postępowej, a stracili w innych miastach, nie licząc ściślejszych wyborów, 4 mandaty.

Partya niemiecko-postępowa ogółem straciła 7 mandatów. Socyalni demokraci zyskali 1 mandat i ściślejszy wybór w dzielnicy Favoriten.

Liczba posłów z partyi niemiecko-ludowej nie zmieniła się.

Izba handlowa w Wiedniu wybrała 4 kandydatów niemiecko-postępowych.

Wiedeń 6 listopada. Z wczorajszych wyborów z gmin miejskich oprócz Wiednia do Sejmu dolno-austryackiego dotychczas wiadome są następujące wyniki: W 5 miastach wybrano kandydatów niemiecko-ludowych, w 2 chrześcijańsko-socyalnych, w jednem niemiecko-postępowego, a w jednem dzikiego. W trzech miastach przyjdzie do ściślejszych wyborów między chrześcijańsko-socyalnym a niemieckim ludowcem. W St.-Pölten wybrano 810 głosami kandydata niemiecko-ludowego, posła do Rady państwa Völkla, podczas gdy dotychczasowy poseł sejmowy chrześcijańsko-socyalny Wohlmayer otrzymał tylko 477 głosów.

Opawa 6 listopada. Przy wczorajszych wyborach do Sejmu szląskiego z kuryi miast wybrani zostali: W Cieszynie dotychczasowy poseł niemiecko-liberalny Bukowski, w Bilowcu (Wagstadt) niemiecko-ludowy Kleppich, w Bruntalu (Freudenthal) niemiecko-ludowy dr. Kromer, w Karusowie dotychczasowy poseł niemiecko-ludowy dr. Rochovansky, we Frydku burmistrz Bogumina niemiecko-ludowy dr. Ott.

W Opawie dotychczasowi posłowie Hampel i Kudlich, obaj niemiecko-postępowi. W Bielsku nowo wybrany fabrykant Josephi, w Jabłonkowie burmistrz Zwilling, niemiecko-postępowy.

Izba handlowa opawska wybrała ponownie niemiecko-postępowego d ra Mengera, adwokata z Wiednia, i Janotę, wiceprezesa Izby.

Salcburg 6 listopada. We wczorajszych wyborach do Sejmu salcburskiego z gmin miejskich wybrano kandydatów stronnictwa katolicko-ludowego przeciw kandydatom niemieckiego stronnictwa konserwatywno-ludowego.

Wiedeń 6 listopada. W tutejszej Izbie handlowej wybrano liberalnych członków Izby Blacha, Medingera, Lindheima i Strobla.

Linc 6 listopada. Z miast górno-austryackich wybrano: 7 kandydatów niemiecko-postępowych, 6 niemiecko-ludowych, 2 konserwatywnych, jednego dzikiego, a nadto dziś odbędzie się jeden wybór ściślejszy w Feklabruck (gdzie dotąd posłem był kandydat konserwatywny) pomiędzy kandydatem konserwatywnym a niemiecko-postępowym. Dotychczasowy stosunek mandatów pozostał niezmieniony, tylko konserwatyści stracili 1 mandat w Freistadt na rzecz dzikiego.

Mały fejleton.

Fraszki.

I.

Wszak pamiętamy z lat dziecinnych,
Gdy nam błyskały życia zorze,
Mówiła matka: — Dziś nie wychodź,
Bo, widzisz, pada deszcz na dworze.

Będącym niby dziś mędrszymi,
Nam niepotrzebną jest ta rada,
Mamy też niby — parasole,
Lecz czyż dlatego.... deszcz nie pada?

II.

— Do kata!... — mówię raz w podziwie,
Gdym linoskoka ujrzał w górze —
Człowieku! jakież to jest trudne,
Doprawdy trudne biedz po sznurze....

A na to on, gdy skończył sztukę,
Rzekł cicho, patrząc łzawem okiem:
— Trudniej mi, panie, biedz przez życie,
Dlatego jestem.... linoskokiem.

KRONIKA.

Lwów 6 listopada.

Odczyt dra Jana Karłowicza pt. „Cudowna moc słowa" odbył się wczoraj w sali ratuszowej staraniem zarządu powszechnych wykładów uniwersyteckich. Prelegent, będący wybitnym badaczem na polu polskiej lingwistyki, folkloru i cywilizacyi staropolskiej, starał się we wczorajszym wykładzie w pierwszym rzędzie o popularność i przystępność wywodów. Tok myśli jego odczytu był następujący: Znaczenie prehistoryi nie jest dziś jeszcze przez wszystkich należycie ocenione; było tak niegdyś ze wszystkiemi innemi naukami, nawet z historyą, która dziś ma tak dominujące znaczenie, a prelegent nie wątpi, że z czasem także prehistorya zajmie w ogólnem umysłowem życiu należne jej miejsce. Dotychczas pielęgnowane są szerzej tylko niektóre jej gałęzie, jak mitologia, archeologia. A jednak wszystkie nauki, które dziś tak się szeroko rozwinęły, mają swe źródło w prehistoryi. Wiele badań z rozmaitych gałęzi wiedzy nie da się pomyśleć bez szukania podstawowych pojęć w prehistoryi, np. badania nad istotą związków rodzinnych, badania lingwistyczne i wiele innych. Prelegent na jednym przykładzie pragnie wykazać zależność istniejących dziś objawów od stosunków, panujących w czasach przedhistorycznych.

Ludy pierwotne przyznawały mowie ludzkiej, tj. wypowiedzianym słowom moc jakąś cudowną, nadprzyrodzoną. Źródło takiego poglądu jest zdaniem prelegenta dwojakie: po pierwsze widzieli ludzie, że gdy starszy młodszemu, pan słudze, silniejszy słabszemu, mężczyzna kobiecie itp. coś nakaże, to słowa jego miały ten skutek, iż nakaz zostawał spełniony. W mało rozwiniętym umyśle pierwotnego człowieka zrodziła się więc myśl, że w słowach tkwi jakiś czar, który zniewala ludzi do posłuszeństwa. Powtóre zaś mowa głównie odróżniała ludzi pierwotnych od zwierząt, najbardziej do nich zbliżonych, co również wpłynęło na to, że przypisywano słowom jakieś nadprzyrodzone znaczenie. Gdy z czasem przekonano się, że często słowa przechodzą bez następstw, wyrobiło się przekonanie, że muszą one być wypowiedziane w pewnych okolicznościach, aby miały ową moc cudowną. Takie zapatrywanie było rozpowszechnione u wszystkich ludów, a szczątki tego wierzenia dochowały się do dziś i to nawet nietylko wśród ludu, ale i w warstwach oświeconych.

Wpływ, jaki przypisywano słowom, był albo dobry, albo zły. Co się tyczy wpływu dobrego, to przedewszystkiem należy tu wspomnieć o błogosławieństwach. Gdy przyjrzymy się sposobom błogosławienia u ludów pierwotnych, uderza nas charakterystyczny objaw, że ludy te były nadzwyczaj formalistyczne. Samo wypowiedzenie błogosławieństwa przy zachowaniu pewnych form już ma swoje znaczenie, nawet gdyby nie towarzyszyła temu odpowiednia wola, lub ta wola ustała. Dowodzi tego błogosławienie biblijnego Jakóba, zamiast Ezawa, które nie mogło już być cofnięte mimo wykrycia się podstępu. A nawet przemocą można wymusić błogosławieństwo, jak pokazuje biblijne opowiadanie o tymże Jakóbie, który walczył w nocy na pustyni z jakimś „mężczyzną" i schwyciwszy go, rzekł: „Nie puszczę cię, póki mnie nie pobłogosławisz".

Ale i w rozlicznych innych formach objawia się u ludów pierwotnych wiara w moc słowa lub śpiewu. Łaciński wyraz *incantare* (oczarować), pochodzący od *cantare* śpiewać, a zachowany w francuskiem *enchanter* (oczarować) jest właśnie śladem tej wiary. Chcąc, aby jakieś przedsięwzięcia się powiodły, lub dla odwrócenia przykrych wypadków, należało wypowiadać pewne wyrazy lub na odwrót nie wypowiadać innych. Ślady tych wierzeń dzisiaj jeszcze wśród ludu naszego są bardzo liczne. Nawet to powszednie witanie się i żegnanie słowem: „dzień dobry", „do widzenia", życzenia zdrowia przy kichaniu, (których wieśniacy używają nawet w razie kichania koni) tu należą. Znane jest również wyrażenie gminne „na psa uroki" dla odwrócenia szkodliwych następstw. A sam ten wyraz „urok", w znaczeniu „czar", pochodzi od tego samego pierwiastka, który tkwi w czasowniku „rzec" i znaczy właściwie „słowo", a zatem i tu pokazuje się łączność tych dwóch pojęć. Prelegent przytoczył jeszcze wiele innych przykładów, zaczerpniętych z wierzeń ludowych. Tak np. przy liczeniu darów bożych, trzeba w niektórych okolicach mówić „nie jeden", „nie dwa", „nie trzy" itd., aby nie „urzec", nie sprowadzić szkody. Wilka nazywają rozmaitemi innemi nazwami, tylko nie wilkiem, aby go „nie wywołać z lasu". Takich zwyczajów jest wśród ludu legion; aby je zrozumieć, trzeba sięgnąć do prehistoryi, która wyjaśnia, że słowom samym przyznawano pierwotnie moc czarowną. Do tej kategoryi należy też wiele imion własnych, które bądź to mają odwracać nieszczęście, bądź szerzyć grozę jak np. Zbigniew, Mściwój itd.

Również i pod względem sprowadzania złych skutków przykłady przypisywania słowom czarownej mocy są liczne. Należą tu przedewszystkiem przekleństwa. Jako jeden z najdawniejszych przykładów przytacza prelegent t. zw. psalm Judaszowy (nazwany tak z powodu, że dopatrywano się w tym psalmie przeczucia zdrady, jaką później popełnił Judasz). Także anatemy kościelne zalicza tu prelegent. Z pomiędzy innych przykładów wymienia prelegent zwyczaj, który się zrodził w Niemczech, a obecnie przeszczepił się do Kaszubów. Lud niemiecki wierzy w t. zw. *todtbeten* i *todtsingen*, t. zn. wierzy, że można swego wroga zabić przez modlitwy, lub przez śpiewanie. Kaszubi nazywają to *zamodlić* kogoś i *zaśpiewać* lub *pośpiewać* kogoś.

Jak już wyżej zaznaczono, szczątki podobnych wierzeń wykryć można także w zwyczajach warstw oświeconych i długo jeszcze — powiada prelegent — używać będziemy rozmaitych życzeń, pozdrowień i innych wyrazów, do których może sami wagi nie przywiązujemy, ale które tylko dlatego są w powszechnem używaniu, że dawniej przypisywano im realne znaczenie.

Na tem prelegent odczyt swój zakończył. Przysłuchiwało mu się mnóstwo publiczności, zapełniającej po brzegi salę ratuszową. Odczyt nagrodzono hucznymi oklaskami.

Egzamina z powszechnych wykładów uniwersyteckich. Na mocy reskryptu ministerstwa wyznań i oświaty z dnia 4go sierpnia 1902 zaprowadza zarząd z bieżącym rokiem akademickim kolokwia z powszechnych wykładów uniwersyteckich według norm następujących: 1) Kolokwia mogą być składane tylko z kursów, obejmujących co najmniej 6 wykładów. 2) Termin kolokwiów wyznacza prelegent, jednak zgłaszać się do kolokwium można tylko do siedmiu dni po ostatnim wykładzie dotyczącego kursu. 3) Taksa za kolokwium wynosi 1 koronę, którą należy złożyć w kancelaryi zarządu, a kwit wręczyć przed kolokwium prelegentowi. 4) Poświadczenia ze złożonych kolokwiów mogą być wydawane wyłącznie na formularzach zarządu.

Z Towarzystwa sztuk pięknych. Cykl obrazów Stachiewicza „Quo vadis" nadszedł już do Lwowa. Wobec tego wystawa Towarzystwa będzie zamkniętą dla publiczności do soboty z powodu rozmieszczania obrazów.

Powszechne wykłady uniwersyteckie na prowincyi. W niedzielę dnia 9 listopada. Brody: Prof. dr. M. Schoennett: Największe i najmniejsze rośliny świata. — Drohobycz: Dr. Z. Pazdro: Z przeszłości miast polskich. — Sambor: Prof. uniw. dr. W. Sieradzki: O używaniu napojów alkoholowych. — Stryj: Prof. uniw. dr. R. Zuber: O wulkanach. — Tarnopol: Prof. uniw. dr. J. Siemiradzki: Ze stepów Ameryki południowej.

Komentarz do prawdomówności posła Daszyńskiego. X. Antoni Wojnarowicz, proboszcz w Dunajowie, ogłasza w jednym z dzienników lwowskich następujące pismo:

Daszyński skłamał. Wyczytałem w dziennikach, że Daszyński w Radzie państwa przytaczał treść kazania X. Domaradzkiego, proboszcza w Dunajowie w powiecie przemyślańskim. Otóż ogłaszam publicznie, że proboszczem w Dunajowie w powiecie przemyślańskim jestem ja, niżej podpisany, i że o strejkach wcale nie mówiłem z ambony, bo w mojej parafii strejków nie było. Obrońca hajdamaków powinien znać ich przysłowie bardzo praktyczne, które się zaczyna: „Skazaw mudryj Seneka..."".

Z Filharmonii. W sobotnim koncercie Filharmonii weźmie udział włoski pianista Silvio Risegari, który miał występować na niedoszłym koncercie w sali Domu Narodnego. Silvio Risegari posiada za granicą sławę znakomitego pianisty, to też wiadomość o jego występie w Filharmonii przyjęta zostanie niewątpliwie z żywem zadowoleniem. W koncercie tym wystąpią również po raz drugi i ostatni Stanisław Barcewicz i baryton Maksymilian Ulanowski.

W niedzielnym koncercie popularnym bierze udział śpiewaczka Marya Leval, znana za granicą z estrad koncertowych. Ponieważ śpiewaczka ta już w poniedziałek opuszcza Lwów, wystąpi więc tylko raz jeden. Ceny nie zostaną podwyższone (zwykłe niedzielne).

P. Ignacy Romanowski, wiceprezydent magistratu lwowskiego, wniósł na ręce prezydenta miasta podanie o przeniesienie go w stan spoczynku. Służył on przez 36 lat. Następcą jego będzie jeden ze starszych radzców magistratu, a są nimi pp. Strzelbicki, Cossa, Lukas i Hobgarski.

Wyjaśnienie. P. Zygmunt Majewski, były właściciel handlu „pod palmą" przy ul. Akademickiej, prosi nas o zaznaczenie, że nasza notatka o niewypłacalności, w jaką popadł właściciel owego handlu, nie może odnosić się do niego, gdyż jeszcze dnia 12go lipca sprzedał on ten handel pani Klaudyi Majewskiej, na której nazwisko firma odtąd opiewa, a on obecnie ani z handlem, ani z tą panią nie ma nic wspólnego.

Nowi asystenci na medycynie. Wydział lekarski uniwersytetu lwowskiego zamianował na ostatniem swojem posiedzeniu asystentami pp. dra Alfreda Burzyńskiego dla kliniki okulistycznej, dra Józefa Markowskiego dla anatomii opisowej, dra Teofila Hołobuta dla patologii ogólnej doświadczalnej, a demonstratorem przy tej katedrze p. Józefa Rosenberga.

Feliks Weingartner, którego poemat symfoniczny „Król Lear" zostanie odegrany na dzisiejszym koncercie Filharmonii, jest jednym z najznakomitszych współczesnych kapelmistrzów. Przed kilku laty był dyrektorem i kapelmistrzem filharmonii berlińskiej, obecnie kieruje słynną orkiestrą Keima w Monachium. W utworze muzycznym, który dziś usłyszymy, ilustruje Weingartner w sposób niezmiernie obrazowy i subtelny tragiczne dzieje szekspirowskiego bohatera.

Ruskie konserwatoryum we Lwowie ma zamiar założyć pewne kółko ruskich melomanów i rozpoczęło już nawet w tym celu kroki przygotowawcze. Dowiadujemy się o tem z osobnego arty-

kulu w *Dile*. Autor tego artykułu utrzymuje najpierw, że Lwów dobią swoją muzykalną sławę zawdzięcza w pierwszym rzędzie Rusinom i żydom. Aby zwalczyć „cudzą" konkurencyę muzykalną, powinni Rusini założyć swoje własne, ukraińskie— ruskie konserwatoryum we Lwowie. Następnie zbija autor niechęć ruskich działaczy politycznych do planu założenia takiego konserwatorium. Politycy powiadają: „Konserwatoryum to dla nas na razie rzecz zbytkowna, wzmocnijmy się najprzód materyalnie, społecznie i politycznie, a wtedy będziemy za jednym zamachem mieć konserwatorya, filharmonie, opery itd". Otóż na to autor odpowiada, że na razie tylko idzie o szkołę muzyczną, w którejby także kultywowano specyalnie ukraińską muzykę, że praca kulturalna Rusinów powinna iść równocześnie z polityczną itd. Profesorami owego konserwatoryum byliby z początku cudzoziemcy, pókiby wśród Rusinów nie wyrobiły się siły nauczycielskie.

Ks. Maciej Radziwiłł, który, jak to donosiła wczoraj nasza depesza z Warszawy, padł ofiarą zbrodniczego napadu na ul. Świętokrzyskiej, ma się, jak donoszą dziś z Warszawy, dość dobrze. Wprawdzie ma kilka dużych siniaków na rękach i piersiach, ale główny cios wymierzony w głowę, który mógłby stać się dla księcia bardzo niebezpiecznym, nie skaleczył go bardzo mocno, albowiem cylinder osłabił znacznie uderzenie.

Książę ma tylko ranę, powstałą z rozcięcia skóry na czole i skroni. Od dalszych ciosów uratował ks. Radziwiłła p. Przeworski, właściciel księgarni przy ul. Świętokrzyskiej. Właśnie w chwili, gdy zbrodniarz napadł na księcia, p. Przeworski wyszedł z księgarni, aby ją zamknąć i z subjektem swoim wrócić do domu, ponieważ zaś napad dokonany był właśnie przed księgarnią, p. Przeworski pospieszył na ratunek, widząc osoby silniejsze od strony księgarni, umknął co rychlej.

Zachwianie się ruskiej konsolidacyi. W poniedziałek odbył się w Drohobyczu wiec wyborczy ruskich chłopów, zwołany przez partyę radykalną. Wiecownicy wybrali swoim kandydatem na posła do Rady państwa sędziego W. Jojkę. Ponieważ jednak w okręgu wyborczym Stryj-Drohobycz-Żydaczów moskalofilska „Podgórska rada" zamianowała ruskim kandydatem X. Dawydiaka z Tuchli, przeto sędzia Jojko oświadczył, że gdyby kontrkandydatem był Polak, to on ze względów narodowych zrzeknie się kandydatury na rzecz X. Dawydiaka, byle nie rozbijać ruskich głosów. Ale zebrani nie przyjęli tego oświadczenia do wiadomości i postali owacyę wzywając X. Dawydiaka, aby się zrzekł swej kandydatury na rzecz sędziego p. Jojki. *Diło* notując te fakty, zauważa, że ruskie stronnictwo narodowe postanowiło wstrzymać się od wszelkiej ingerencyi w tym powiecie, a więc nie będzie przeszkadzać kandydatowi radykalnemu, mimo uchwalonej swego czasu zasady konsolidacyjnej przy wyborach, polegającej na tem, że wszystkie ruskie partye będą stawiać przeciw kandydatom polskim tylko jednego ruskiego kontrkandydata. Wiec drohobycki — zdaniem *Diła* — wykazał bankructwo konsolidacyi i niemożliwość jej przeprowadzenia z tego powodu, że stronnictwo moskalofilskie szło w ostatnich czasach rękę w rękę z Polakami i przez to zaraziło się rzeczą Rusinów.

Stan powietrza. 7. r. g. 6 rano — 3. w poł. + 8 R. Bar. 775. Podnosi się. Pogodnie.

Wybredny.
— Czy słyszałeś pan „Requiem" Mozarta?
— Słyszałem.
— No i cóż?
— Phil.. Muzyka niby niezła; ale libretto nieszczególne.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. We czwartek po raz (wznowienie) „Marya Stuart" tragedya w 5 akt. Fr. Schillera. Gościnny występ Heleny Modrzejewskiej i J. Śliwickiego. — W piątek po raz 12sty „Świat na opak" fantastyczno-burleskowa operetka w 5 odsłonach Karola Kapellera. — W sobotę po raz 2gi „Marya Stuart" występ Heleny Modrzejewskiej i J. Śliwickiego. — W niedzielę o godz. 7mej na ogólne żądanie po raz 3ci i ostatni „Hamlet" tragedya w 5 aktach Szekspira. Ostatni występ Józefa Śliwickiego.

Repertuar Filharmonii lwowskiej. Dziś we wtorek dnia 6 listopada „Wielki koncert filharmoniczny" ze współudziałem Stan. Barcewicza, skrzypka, i Maksymiliana Ułanowskiego, artysty opery. Program: I. 1) Rossini: Uwertura do op. „Wilhelm Tell". 2) Massenet: Arya z opery „Król Lahory" odśpiewa p. Maksymiljan Ułanowski. 3) Vieuxtemps: Koncert nr. 4 odegra z tow. ork. St. Barcewicz. — II. 1) Weingartner: Poemat symfoniczny „Król Lear". 2) Wormser: „Suita cygańska": a) Czardasz, b) Nad brzegiem Dunaju, c) Taniec słowacki odegra z tow. orkiestry St. Barcewicz. — III. 1. a) Gall: „O gdybym w niedoli", b) Pooth: „Irish Folkssong", c) Risegari: „Te souviens tu" odśpiewa M. Ułanowski. 2. a) Paderewski: Melodya z „Pieśni podróżnika", b) Rubinstein: Melodya, odegra St. Barcewicz. c) Bizet: „Toreador i Andalusa" ze suity „Bal kostiumowy".

W piątek 7 listopada Koncert Fannie Bloomfeld-Zeisler, pianistki. (Abonament ustalony).

W sobotę 8 listopada „Wielki koncert filharmoniczny" ze współudziałem St. Barcewicza, M. Ułanowskiego i Silvia Risegari, pianisty. Program: I. 1) Noskowski: Uwertura koncertowa „Morskie Oko". 2) Saint-Saëns: Koncert G-moll odegra z tow. orkiestry Silvio Risegari. 3) Wieniawski: Koncert d-moll z tow. ork. odegra St. Barcewicz.— II. 1) Czajkowski: Walc z opery „Eugeniusz Onegin". 2) Czajkowski: Arya z op. „Eugeniusz Onegin" odśpiewa z tow. ork. M. Ułanowski. 3. a) Paderewski-Barcewicz: Melodya, b) Hubay: „Zefir", odegra St. Barcewicz. — III. 1. Chopin: a) Nokturn, b) Ballada, odegra S. Risegari. 2. a) Niewiadomski, b) Gall: Pieśni, odśpiewa M. Ułanowski.

W niedzielę 9 listopada „Koncert popularny" ze współudziałem p. Maryi Leval, śpiewaczki.

Literatura i sztuka.

* **Jerzy Żuławski**: „Opowiadania prozą". Warszawa, 1902.

Słyszymy od pewnego czasu bardzo dużo o modernizmie, ale bardzo mało o modernistach. Albo jest ich pono niewielu albo, jeżeli tworzą liczniejszą grupę, nie lubią, czy nie umieją pracować. Najpłodniejszym ze wszystkich był przez czas długi Przybyszewski. Redaktorowie czasopism modernistycznych skarżą się na brak materyału. Nie ma komu pisać, nie ma czem zapełnić szpalt.... Taki *Strumień* np. przestał wychodzić głównie z powodu braku pracowników.

Do modernistów, którzy zdobyli sobie w Krakowie stanowisko wybitniejsze, należy p. Jerzy Żuławski. Z ciekawością przeto wzięliśmy do ręki jego „Opowiadania prozą", wydane w Warszawie. Jakże wygląda ta szkoła, co myśli, co czuje, przez jakie szkła, pod jakim kątem patrzy na świat, na ludzi, jakie są jego pragnienia? Czy należy do szkoły Przybyszewskiego, czy też szuka dróg własnych?

Pierwszą część bardzo ładnie wydanej książeczki wypełniają „drobiazgi": „Skarga grobów", „Do przyjaciela", „Św. Mikołaj", „Sen", „Pocałunek", „Odjechała", „Sprzedana dusza", „Śmierć", „Babie lato", „Z listu—dowód".

Są to w istocie „drobiazgi", pyłki, okruchy, strzępy, lub jak tam inaczej temu lat dziesięć takie lekko naszkicowane wrażenia i obserwacye nazywano. Modernizmu w nich w rozumieniu pospolitem ani śladu. Mógłby je podpisać bez obawy i wahania zwolennik każdego innego kierunku.

Zobaczmy dalej.

Część druga „Opowiadań prozą" p. Żuławskiego zawiera kilka utworów szerszych rozmiarów, kilka nowel: „Modlitwa", „Paź", „Z domu ojców", „Matka", „Biały szczur", „Po uczcie".

Nasamprzód „Modlitwa". Był chłopczyk, który przygotowywał się na wsi do szkół pod kierunkiem młodego studenta prawa. Majątek jego ojca leżał pod Nowym Targiem, w okolicy podgórskiej, wiadomo zaś, że okolice podgórskie bywają bardzo często nawiedzane nagłemi, niespodziewanemi powodziami. Rano pogoda, w południe deszcz, wieczorem znów pogoda, a w nocy burza.

Któregoś dnia w czerwcu czy w lipcu posłał dziedzic korepetytora do młyna z jakimś interesem. Student poszedł, nie wiedząc, że idzie naprzeciw śmierci.

Nagle zerwała się burza, tak straszliwa, tak groźna, jak tylko w górach szaleć umieją: pogodne niebo zasnuły chmury ołowiane, potoki strumienia nabrzmiały w przeciągu kilku minut i rozlały się z hukiem, zabierając wszystko po drodze, po łąkach, po równinach. Młyn wodny stał się nagle samotną wysepką, której bezbronne brzegi podmywały wściekłe, oszalałe fale, a w tym młynie wołali o pomoc jego dzierżawca, stary Jakób, i posłany do niego student. Trzeba ludzi ratować! Daremnie jednak walczyła dobroć z rozszalałym żywiołem. Nawet konie, zwykle najodważniejsze w takich razach, nie chciały iść do wody, na śmierć pewną. A młyn chwiał się, jak krucha łódź, trzaskał, pękał, rozlatywał się. Jeszcze pół godziny, jeszcze kwadrans, a stary budynek runie w przepaść szumiącą, czarną, a z nim razem młynarz i student.

Wówczas rzucił się chłopczyk, który kochał swojego korepetytora, na kolana przed obrazem, wiszącym nad jego łóżeczkiem i wyciągnąwszy ręce dziecinne w górę, zaczął wołać, nie, krzyczeć do Boga, by ratował nieszczęśliwych.

Tak modlił się chłopiec p. Żuławskiego.

I w tej „modlitwie" nie ma nic modernizmu w rozumieniu, do jakiego nas moderniści przyzwyczaili. Psychologia naszkicowanych postaci nie kłóci się z logiką, wypadki rozwijają się prawidłowo, krajobrazy nie rażą sztucznością, język nie szuka zwrotów, obrazów nadzwyczajnych.

Bardzo dobrze odczuł p. Żuławski duszę dziecka i bardzo dobrze, z talentem, odtworzył jego drobne marzenia, zamiary, pożądania. Każdemu z nas wydawał się niegdyś las krainą tajemniczą, zaczarowaną, królestwem smoków, czarownic, karłów i t. d.

Czytajmy dalej.

Oto wiązanka listów p. t. „Z domu ojców". W Szwajcaryi, w Zurychu, uczy się młody Boryniecki filozofii i różnych innych mądrości. Na potomka starego rodu rycerskiego powiał duch kosmopolityzmu. Szlachcicowi zdawało się, że duch ten wniknął w niego, przejął go całego, — że zniszczył w nim wszystkie „mikroby przeszłości", że przekształcił go w człowieka „nowego", pozbawił go raz na zawsze przywiązania do tradycyi swojej krwi, swojego domu, swojego kraju rodzinnego. Tak się zdawało młodemu doktorowi filozofii, kiedy, po ukończeniu studyów uniwersyteckich wracał do domu, do Boryniec, w których żył i umarł długi szereg pokoleń, noszących to samo nazwisko, które on nosił. Nic go nie obchodziło, jego, „nowego" człowieka, że te Borynice miały właśnie wyjść z rąk prastarych dziedziców, że szły na subhastę — ostatnie okruchy pańskiej niegdyś fortuny. Bo cóż go mogły obchodzić stare groby na starym cmentarzu, stare płyty na starych grobach ze starymi napisami, stare portrety dawno zgasłych przodków? Ziemią rodzinną ludzi „nowych" jest ziemia wogóle, — ojczyzna człowieka.

Tak wierzył dr. Boryniecki, filozof bez przesądów, człowiek przyszłości, nie patrzący, nie chcący patrzeć po za siebie.

Lecz stała się rzecz szczególna.

Przybywszy do Boryniec, dowiedział się potomek ich dziedziców, że, groby mają swój głos, że wczoraj ma swoje echo". Sądził, że można koło grobów przejść, jak koło rzeczy martwej zupełnie, bo nie wiedział, że groby wołają na człowieka żywego, a w człowieku żywym jest zmysł, który wołanie umarłych słyszy i rozumie.

W Borynicach dowiedział się „nowy człowiek", że dusza ludzka nie jest cała w teraźniejszości, że część jej należy do czasów minionych. A ta część, obudziwszy się wobec świadków epok zastygłych, rosła w nim, olbrzymiała z dniem każdym, potworną się stając.

I kiedy „nowy człowiek", dla którego cała ziemia miała być gniazdem rodzinnem, który jechał do domu z pogardą dla tego domu starego, musiał opuścić ostatnią ruinę swojego rodu, wówczas czuł w sercu ból okrutny, a w gardle łzy duszące, bo, dotknąwszy się prochów, zrozumiał, że kochał, mimo całą filozofię, przeszłość za to, że nauczyła go czuć swą łączność z przebrzmiałemi już wiekami.

Nie ma nic wspólnego między duszą noweli p. Żuławskiego p. t. „Z domu ojców" a „nagą duszą" modernizmu. Bo naga dusza Przybyszewskiego i jego zwolenników nie uznaje wpływów tradycyi, przeszłości nie zna, — odrywa się od wszelkich ram społecznych, narodowych, wznosi się wysoko ponad „domy ojców", w siebie tylko patrząc i swoje w sobie udręczenia tylko postrzegając. Bo naga dusza modernizmu jest bezbrzeżną egoistką, której bole „motłochu", „tłumu" nie roztkliwiają, która by całą ziemię starła na proch, na miał, gdyby to było potrzebne do zaspokojenia jej zachcianek. „Tłum" istnieje przecież tylko na to, aby się nadczłowiek mógł swobodnie rozwijać.

I nowelę pt. „Z domu ojców" mógłby każdy autor dawnej szkoły bez namysłu podpisać, nawet „zacofany" idealista.

Wynika z tego, że można być modernistą, a nie potrzeba koniecznie odrywać się od swojego społeczeństwa, od swojego czasu, choćby od swojego gniazda rodzinnego. Że nie potrzeba wywracać koziołków przeciwlogicznych, bawić się w wizye chorobliwe, wymyślać sztuczne, dziwaczne symbole i obrazy, których „tłum" nie rozumie.

Odczytując nowele p. Żuławskiego, doznaliśmy bardzo przyjemnego rozczarowania, spodziewaliśmy się bowiem różnych cudactw, a znaleźliśmy dziełko artysty, obdarzonego pięciu zdrowemi zmysłami. Bo owe biedne „zdrowe klepki" wyszły w ostatnich czasach z mody. Im kto więcej bredził od rzeczy, im więcej oddalał się od logiki i prawdopodobieństwa, im głębiej pogrążał się w halucynacyach majaczącej gorączkowo fantazyi, tem huczniejsze oklaski zbierał od różnych „nadludzi", a głównie „nadkobiet".

Nie ulega wątpliwości, że literatura pozytywistyczna obniżyła lot fantazyi artystycznej, że stawiała pogańskie ołtarze walce o byt i widziała tylko fizyologiczną stronę człowieka, jego potrzeby, chucie, pożądania cielesne. I nie ulega także wątpliwości, że należy podnieść sztukę, wyidealizować znowu, uduchowić jej zbydlęcone oblicze, czego zresztą nie sami tylko moderniści się domagają, bo żądali tego przed nimi pierwsi, starsi przeciwnicy pozytywizmu; lecz idealniejsze, wznioślejsze pojęcie sztuki można pogodzić bardzo dobrze ze zdrowym sensem, z obserwacyą realistyczną.

Wszystkie przewroty mają to do siebie, że burzą odrazu całą przeszłość bezpośrednio, nie chcąc się od niej niczego nauczyć. A przecież pracuje każde pokolenie dla następującego i zostawia zawsze po sobie coś dodatniego, coś, co nie ginie, co zginąć nie może. I pozytywizm artystyczny (naturalizm) zostawił po sobie wskazówki bardzo cenne, mianowicie: przedmiotowość i obserwacyę. Wystarcza tylko rozszerzyć tę spuściznę dogorywającego pokolenia, pogłębić ją, podnieść trochę wyżej, aby stworzyć nową szkołę. Ale do tego potrzeba czasu.

Nad wszystkiemi nowelami p. Żuławskiego wieje cichy smutek, wszystkie toczy ukryty na ich dnie robak pesymizmu. Jedyna to jego legitymacya modernistyczna.

Ale pesymizm p. Żuławskiego nie „wścieka się," nie kąsa, nie pieni się, nie bluźni. Płynie on cicho, na miękkich skrzydłach, jak cienie wieczoru pogodnego, jak westchnienie bezbronnego żalu.

Bezbronnym bowiem w istocie jest człowiek wobec niemocy swojej, wobec ułomności i wobec tych wszystkich codziennych rozdźwięków między tem, co jest, a tem, co być powinno, których tak pełno, tak dużo, iż dziwić się nikomu nie można, że mu tu źle, że pragnie „pokoju." Ale my, chrześcijanie, wiemy przecież, iż królestwo sprawiedliwych nie jest z tego świata. Ziemia nie była nigdy dziedzictwem szlachetnych, z czem się trzeba pogodzić. Życie zresztą nie jest znów tak bardzo długie, aby warto było szarpać się w jego ciasnych ramach i ranić i krwawić. Za wiele przywiązujemy dziś wartości do życia, zanadto je kochamy, zbyt chciwie, zbyt prędko chcielibyśmy wysączyć kielich rozkoszy, co jest głównem źródłem owego pesymizmu, które ostatnie pokolenie męczy, zatruwa, ubezwładnia.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 4 listopada.

(Z). Niepomyślne wieści o sytuacyi parlamentarnej na Węgrzech wywołały znaczną depresyę, która przetrwała prawie aż do zamknięcia giełdy. Ucierpiały głównie kredyty i Staatsbahny. Mało tylko polepszyło się to usposobienie po nadejściu korzystnych wiadomości o przebiegu giełd w Berlinie i Londynie. Dopiero przy samym końcu tendencya się poprawiła. Zwłaszcza Staatsbahny podskoczyły, co łączono ze znacznemi oszczędnościami, jakie tego roku porobiono na tej kolei co do zużycia węgla, jakoteż z widokami upaństwowienia.

Z Paryża donoszą, że wiceprezydent syndykatu fabrykantów cukru, p. Barrvis Brame wyraził w rozmowie z pewnym dziennikarzem swoje zapatrywania na stany przemysłu cukrowego we Francyi. Zdaniem jego, jedynym środkiem do ratowania sytuacyi jest zniżenie podatku od cukru, przeznaczonego do konsumcyi w kraju. Jest to tem bardziej możliwe, że po przyjęciu konwencyi brukselskiej, rząd nie będzie płacił premii wywozowych. Francya produkuje w 333 fabrykach około miliona ton cukru, a konsumuje zaledwie połowę tego.

Gdyby przez zniżenie ceny cukru można zdwoić konsumcyę, to byłby to ratunek dla wszystkich. A podwojenie takie jest możliwe, gdy się zważy, że we Francyi przypada na głowę 15 klgr. rocznie, w Szwajcaryi zaś 27 klgr., a w Anglii 44 klgr. P. Barrvis spodziewa się też, że ze zniesieniem premij wywozowych zakwitną znowu we Francyi fabryki konfitur i biszkoptów, które teraz przeważnie znajdują się w Anglii, choć przerabiają cukier francuski, że wzrośnie konsumcya czekolady i że przy wyrobie piwa glykoza zastąpioną będzie przez cukier burakowy. Przemysłowcy francuscy spodziewają się, że po przejściowym czasie zniżenia podatku od cukru na 25 lub nawet na 20 franków, nastąpi zupełne jego zniesienie, a p. Barrvis wyraża nadzieję, że to pociągnęłoby za sobą nadzwyczajny rozkwit rolnictwa francuskiego i wogóle podniesienie dobrobytu w całem państwie.

Ostatnie notowania:

Akcye austr. Zakł. kredyt. 673·00, węg. Zakł. kredyt. 711·00, Angiobanku 272·00, Unionbanku 532·00, Länderbanku 390·50, Bankvereinu 450·00, Bodencredit 923·00, Gal. Banku hip. 000·00, Statsbahny 703·00, Lombardy 74·25, Kol. Elbethal 457·50, Północnej 0000, Czerniowieckiej 560·00, Alpiny 359·00, Rima Muranyi 470·50, Praskiego Tow. żel. 1440, Fabryki broni 301·50, Tureckie tytoniow. 320·50, Oblig. węg. indemniz. 97·35, Renta majowa 101·10, Austr. renta koronowa 100·10, Węgier. renta koronowa 97·65, 56-letnie Listy Tow. kredyt. ziem. 96·00, 4% Listy Banku krajow. 96·75, 4½% Listy Banku krajow. 101·00, 4% Listy Banku hipotecznego 95·75, 4½% Listy Banku hip. 100·15, 5% Listy Banku hipotecz. 110·00, 4% Gal. Oblig. propin. 98·60, 4% Gal. poż. kraj. z r. 1893 97·25, 4% Poż. m. Lwowa 94·75, Losy turec. 113·50, Marki 116·90, Ruble 252·75.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(*Depesze poranne*).

Paryż 6 listopada. Sąd rozjemczy wybrany przez towarzystwa kopalniane i górników w okręgu Pas de Calais wydał wyrok, nie prowadzący do podwyższenia obecnych płac. Jak zapewniają, delegaci górników nie zadowolili się tym wyrokiem i oświadczyli, że jak najrychlej zwołają kongres górników z okręgu Pas de Calais. Po odczytaniu wyroku w obecności delegatów towarzystw kopalnianych i górników, oświadczyli delegaci towarzystw w imieniu wszystkich towarzystw kopalnianych w okręgu Pas de Calais, że towarzystwa te na własny koszt podwyższą zaopatrzenie górników na starość.

Berlin 6 listopada. „Biuro Wolffa" potwierdza wiadomość o zamianowaniu dotychczasowego ambasadora w Rzymie hr. Wedla ambasadorem niemieckim w Wiedniu i o zamianowaniu dotychczasowego ambasadora w Monachium hr. Montsa ambasadorem niemieckim w Rzymie.

Lipsk 6 listopada. Przed trybunałem państwowym toczył się wczoraj proces o zdradę stanu przeciw ajentowi handlowemu Bäckerowi. Oskarżony przyznaje, że Francuzowi Meunierowi wydał korespondencye wojskowe i fotografie fortów w Metzu, zaprzecza jednak stanowczo, jakoby uprawiał szpiegostwo. Trybunał skazał Bäckera za zdradę tajemnic wojskowych na 3 lata i 6 miesięcy więzienia, oraz na 10 lat utraty praw obywatelskich i pozostawanie pod nadzorem policyjnym.

Wiedeń 6 listopada. Stan zasiewów według sprawozdania ministerstwa rolnictwa z początkiem listopada wykazuje, że opóźnienia w zasiewach oziminy z wyjątkiem Sudetów i krajów wschodnich wszędzie ustały. Kartofle wydały rezultaty niezadowalające lub średnie. Buraki cukrowe obrodziły słabo. Zawartość cukru mniejsza niż w roku zeszłym. Zbiór winogron nie wszędzie jeszcze ukończony. Winogrona obrodziły lepiej, aniżeli się spodziewano, ale zawartość cukru jest mniejsza.

Bruksela 6 listopada. W miejscowości Forest koło Brukseli zawaliły się dwa nowo zbudowane domy. 8 robotników zostało pod gruzami. 5 trupów już wydobyto, a sądzą, że i trzej inni robotnicy śmierć ponieśli.

Nowy York 6 listopada. W jednym z tutejszych ogrodów publicznych zdarzyła się wczoraj wieczorem straszna eksplozya ogni sztucznych, które miały być spalone z okazyi zwycięstwa demokratów w tym okręgu. 12 osób zostało formalnie poszarpanych w kawałki, 82 jest ciężko rannych. Skutkiem eksplozyi powstał ogromny popłoch, przyczem także wiele osób odniosło rany.

Praga 6 listopada. Związek prasy słowiańskiej w Austryi uchwalił na posiedzeniu, na którem przewodniczył redaktor *Czasu* Chyliński, że najbliższy kongres dziennikarzy słowiańskich ma się odbyć w r. 1903 w Pilznie czeskiem.

Kapsztad 6 listopada. Parlament odrzucił zwalczane przez Związek afrykanderów przedłożenie dotyczące reorganizacyi armii w koloniach Przylądka. Jest to czwarta z rzędu klęska prezydenta ministrów Sprigga podczas obecnej sesyi Izby.

Waszyngton 6 listopada. Podług nadeszłych do wczoraj rana wiadomości o wyborach do kongresu, w 196 okręgach wyborczych zwyciężyli republikanie, w 176 demokraci, w 3 wybrano kandydatów niezawisłych, z 11 okręgów wynik jeszcze niewiadomy. Dotychczasowe rezultaty już wskazują na to, że republikanie utrzymają większość w kongresie.

Paryż 6 listopada. Dziennik urzędowy ogłasza rozporządzenie ministeryum wojny, według którego kary cielesne w kompaniach karnych i w więzieniu wojskowem są zakazane.

Berlin 6 listopada. Cesarz Wilhelm wyjechał wczoraj wieczorem do Kilonii, a stamtąd udaje się w podróż do Anglii.

Nowy Targ 6 listopada. Żandarmerya stwierdziła porąbanie kładki przy Morskiem Oku.

Kraków 6 listopada. Wóz tramwajowy przejechał dziś w ul. Siennej 22-letnią służącą Helenę Podgórską i zabił ją na miejscu.

(*Depesze popołudniowe*).

Nowy Jork 6 listopada. Demokraci twierdzą, że przy wyborach w Nowym Jorku dopuszczano się oszustw i grożą wytoczeniem oskarżenia w sądzie. Według ostatnich doniesień do wczoraj, godziny 7 wieczór, stwierdzono wybór 197 republikanów i 177 demokratów.

Londyn 6 listopada.. Izba gmin przyjęła dodatkowy kredyt 8 milionów funtów szterlingów dla Boerów.

Lens 6 listopada. Delegaci robotników górniczych, którzy wrócili tu z posiedzenia sądu rozjemczego w Paryżu, poradzili robotnikom, aby do soboty jeszcze strejkowali, póki nie nadejdzie decyzya syndykatu z Pas de Calais. Zgromadzenie robotnicze wniosek ten jednogłośnie uchwaliło. Strejkujący robotnicy w St. Etienne uchwalili zapelować do robotników portowych o przyłączenie się do strejku, gdyby do dnia jutrzejszego żądań ich nie spełniono.

Warszawa 6 listopada. Napastnikiem, który dokonał zamachu na ks. Radziwiłła, jest niejaki Rybakiewicz, bez określonego zajęcia i nigdzie nie meldowany. Grasował on już od kilku lat w Warszawie, nachodził mieszkania prywatnych osób w celu wyłudzenia datku, a przybierał rozmaite nazwiska.

Rada państwa.

Wiedeń 6 listopada. Minister obrony krajowej, cofając przedłożoną na początku obecnej sesyi ustawę o kontyngencie rekrutów, przedkłada równocześnie nową ustawę, według której kontyngent rekrutów na rok 1903 dla wojska lądowego i marynarki wynosić ma 125.000 ludzi. Z tego przypada 71.562 na Austryę. Kontyngent rekruta dla obrony krajowej oblicza ustawa na 14.500 ludzi. Celem koniecznego natychmiastowego uzupełnienia sześciu tysiącami ludzi, uchwalonych jeszcze przez delegacyę preliminarzy systemizowanego stanu wojska i marynarki, domaga się ustawa pozwolenia na powołanie 3435 rezerwistów zapasowych z roku asenterunkowego 1902 do czynnej służby dla Przedlitawii; z tej liczby po upływie 1 roku trzecia część ma być urlopowana, przyczem policzona im zostanie ta czynna służba za jedno ćwiczenie wojskowe.

Przedłożenie zawiera dalej postanowienia dotyczące sposobu powołania rezerwy zapasowej i urlopników, które mają być udzielone wskutek wzrostu kontyngentu rekrutów.

W motywach powiedziano, że powołanie rezerwy zapasowej do czynnej służby wojskowej jest tylko jednorazowem zarządzeniem, w najniezbędniejszych rozmiarach.

Odczytano cały szereg nagłych wniosków. Sześć nagłych wniosków postawili dziś młodoczesi.

Prezydent zawiadamia, że Izba panów nadesłała wiadomość o przyjęciu ustawy o handlu terminowym zbożem w zmienionej formie, którą prezydent przedkłada.

P. Kramarz stawia nagły wniosek, aby Izba natychmiast przystąpiła do dyskusyi nad oświadczeniem prezydenta ministrów na posiedzeniu w dniu 16 października złożonem.

Prezydent zawiadamia, że wszyscy wnioskodawcy nagłych wniosków zgodzili się na udzielenie pierwszeństwa wnioskowi nagłemu Klofacza w sprawie złego obchodzenia się z żołnierzami ze strony lekarzy wojskowych w Rokiczanach.

P. Klofacz zabiera głos celem uzasadnienia nagłości.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Wiedeń 6 listopada. Kurs giełdowe.

Losy: a) procentowe:

Austr. zakł. kr. z obl. pr. z r. 1880 3%	263.—
„ „ „ „ „ 1889 3%	262.50
Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m.k. 4%	—.—
Uregulow. Dunaju z r. 1870 100 zł. 5%	285.—
Węg. Banku hipotecznego po 100 zł. 4%	254.—
Pożyczka serbska prem. po 100 fr. 2%	86 75
Tureckie obl. prem. kolej po 400 fr.	113 50

b) bezprocentowe:

Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 18.70, Zakł. kred. dla h. i p. po 100 zł. 427·—, Clary 40 zł. m. k. 206.—, Pożyczka m. Insbruku 20 zł. 83.50, Losy m. Krakowa 20 zł. 77.—. Pożyczka m. Lublany 20 zł. 75.00, Ofen 40 zł. 194.00, Palffy 40 zł. m. k. 182.00, Czerw. krzyża austr. 10 zł. 54.65, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 27·—. Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 72.—, Salma 40 zł. m. k. 245.—, Pożyczka salcburska 20 zł. 77.—, Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 230.00, Losy komunalne m. Wiednia r. 1874 427.—.

Wiedeń 6 listopada. (Giełda towarowa). Cukier 20·40 (ustalony). Nafta galicyjska 28.00. Spirytus (bez zmiany) 38·00.

Berlin 6 listopada. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·55. Spirytus 42·60.

Paryż 6 listopada. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocent. renta 99·92. Mąka („Fleur de Paris") 00·00.

Frankfurt 6 listopada. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 212·60. Koleje państwowe 000·00 exclusive kupon. Alpiny 000·00. Disconto 188·60. Laura 000·00.

Lwów 6 listopada. (Z izby handlowej). Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —·00 do —·00, Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 555.00 do 567.00. Banku hipotecznego po 400 kor. 536.00 do 550·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. 000·— do 000·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 000·— do 850.—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 000.— do 820.—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 109·70 do 000·00 4 i pół proc. los. w 50 lat 100·— do 100·70. 4 proc. los. w 60 lat 95.50 do 96·20. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 101.00 do 101.70 Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 96·75 do 97·45. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 96·50 do 97·20, 4 proc. los w 41 i pół latach 96.70 do —.—, 4 proc. los w 56 lat 95·70 do 96.40.

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 pro 98·80 do 99·00. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102·50 po —·—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102·00 do 102·70. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe do 200 koron 96·80 do 97·00. Pożyczki kraj. z r. 1873 6 proc. —·— do —.—. 4 proc. z 1893 r. 96.30 do 97.00, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 94·00 do 94·70, 4½% po 200 koron 100·50 do 101.20.

Monety. Dukat cesarski 11·22 do 11·34. Napoleondor 19·00 do 19·20. Rubel rosyjski papierowy 252.20 do 254.20. 100 marek niemieckich 116·70 do 117·30.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1902 roku według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1·35**, **8·40***, 6·10, 8·50, 5·50 i 9.50*
Z Rzeszowa: 10·25.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2·35**, 8·00, 5·85 10·20*; na Podzamcze: **2·20**, 7·40, 5·11, 10·02*.
Z Tarnopola: 8.85* (na dw. gł.); 8·14* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12·15***, **1·45**, 6·20, 5·40 i 9·20*.
Ze Stanisławowa: 11·55.
Ze Stryja: 8·10, 1·10, 4·40, 10·50*.
Z Janowa 7·45, 1·28, 9·25*, 10·08*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa **12·45***, **8·30**, **2·55**, 4·15*, 8·40, 6·20*, 11·00*
Do Rzeszowa: 8·80.
Do Przemyśla: 8·25*.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1·55**, 6·30, 9·00* 11·10*; z Podzamcza: **2·09**, 6·48, 9·20*, 11·32*.
Do Tarnopola: 10·40 z dw. głównego i 10·57 z Podzamcza.
Do Czerniowiec: **2·51***, **2·40**, 6·25, 10·30, 10·30*.
Do Stanisławowa: 6·10*.
Do Stryja: 6·35, 9·00, 8·05, 6·35*.
Do Janowa: 9·15, 1·25, 8·15 6·30*, 10·05*.

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

Wieczór wiosenny.

Guy de Maupassanta.

Postanowionem zostało, że Jakób będzie mężem Janki.

Znali się od lat dziecinnych i stosunek ich wcale nie nosił cechy światowej, zwykle trochę wymuszonej.

Wychowani razem młodzi, ani się spostrzegli, kiedy miłość do serc im się wkradła. Dziewczyna, pewna siebie, wabiła chłopca spojrzeniem, żartem, w sposób bardzo niewinny zresztą; on był miłym i dobrym, więc lubiła go szczerze, a nawet na powitanie pozwalała się ucałować, gdy stęskniony powracał do domu. Wszystko to jednak dalekiem było od namiętności, która wstrząsa nerwami i daje dreszcz rozkoszy. Jakób, na wspomnienie Janki, doznawał tego uczucia tkliwości i zadowolenia, jakie daje zawsze widok ślicznej, na pół rozwiniętej istotki, i nie nazywał jej inaczej, tylko „swoją uroczą kuzynką“. Ponadto nie posuwał się zuchwalą myślą.

Pewnego razu „kuzyneczka“, niewiadomo, wypadkiem czy umyślnie usłyszała matkę swoją, mówiącą do ciotki Anieli (ciocia Ludwisia, jako stara panna nie liczyła się zupełnie): „Zapewniam cię, że nasze dzieci mają się ku sobie; to przecież widoczne. A dla mnie jest on zięciem, o którym dawno marzyłam.“ Te słowa skutecznie wpłynęły na zakochanych. Janka, patrząc na swego wybranego, zaczęła rumienić się, spuszczać oczęta, drżeć pod pocałunkiem, tak, że on wprędce dorozumiał się wszystkiego i ogarnięty sam nieznanem dotąd sobie wzruszeniem, w którem zaspokojenie miłości własnej grało też niepoślednią rolę, porwał raz dziewczynę w ramiona i wyszeptał drżącym głosem: „Kocham ciebie, kocham jedyną!“

Od tego dnia pamiętnego narzeczeni gruchali jak dwoje gołąbków, zamieniwszy poprzednią, braterską poufałość na zupełną swobodę ludzi, mających niebawem złączyć losy swoje. Samotnie spędzali godziny całe w lasku, sami siadywali nad brzegiem wody, albo na łące, usianej wiosennym kwieciem, nie krępowani niczem, nawet obecnością trzech staruszek, które pobłażliwie, a nawet z rozczuleniem pewnem przyglądały się młodej parze.

I tak czekali tego dnia, przeznaczonego już teraz na ich połączenie bez wszelkich pragnień i niecierpliwości zwykłych w związkach ludzi młodych, przedwcześnie rozbudzonych do życia. Owiani atmosferą mistycznego jakiegoś ubłogosławienia, żyli w nieprzerwanem, rozkosznem rozrzewnieniu, zaspokajając się dziecięcą pieszczotą, wolną zupełnie od ziemskich pożądań i niepokojów — niekiedy tylko trwożni nieokreślonem przeczuciem tajemniczych, niepochwytnych obietnic, o których szeptała im symboliką swoją cała przyroda, śpiewająca swój nieustanny hymn stworzeniu. A gdy w takiej niemej ekstazie, w takim pół śnie upajającym przeżyli dzień cały, wydało im się, że w jakiś niepojęty sposób zadłużyli się przeznaczeniu i doświadczali wtedy rozkosznego znużenia dusz czystych, znużenia, objawiającego się tylko westchnieniem lękliwem, w którem przebłyskiwała nieujęta trwoga przed owem ostatniem słowem zagadki, jaką ukrywało przed niemi życie.

Szczególną swoją, serdeczną opieką otaczała ich ciocia Ludwisia. Była to drobna kobiecinka, prawie zawsze milcząca, zawsze na ostatnim planie, zawsze na usługach wszystkich, która stąpała cicho, usuwała się każdemu, zjawiała się tylko w porach posiłku, wymykając się następnie do swojej, szczelnie zamykanej izdebki. Lata przedwcześnie wyryły na niej swoje piętno, ale oczom poczciwym i smutnym nie zdołały odjąć wyrazu dziwnej, pociągającej słodyczy. Pomimo to wszystko, a może i dlatego, rodzina lekceważyła ją sobie widocznie. Obiedwie siostry, wdowy, mające pewne stanowisko w świecie, traktowały starą pannę, jako istotę bez znaczenia, której odrobina dobroci nieledwie pogardliwej, powinna była wystarczyć.

Nazywano ją Luizą, ponieważ urodziła się w epoce, kiedy pieśni Beranger'a były na dobie we Francyi, następnie to imię wyszukane zmienionem zostało na zwyczajną Ludwikę, miano odpowiedniejsze dla kobiety, która nieodwołalnie pożegnała się z nadzieją zamążpójścia. Obecnie znamy już tylko „ciocię Ludwisię“, strasznie nieśmiałą i pokorną w stosunkach z najbliższymi, którzy lubili ją po swojemu — z nawyknienia więcej, niż ze szczerego serca.

Dzieci nie wchodziły nigdy do pokoiku ciotki, aby ją uścisnąć na dzień dobry lub dobranoc. Zwykle wołano ją przez służącą, gdy ktoś jej potrzebował. W tym nieznanym, odosobnionym kąciku, upływało to życie złamane, bezcelowe, nikomu na nic nie przydatne, dla nikogo niepożądane, ani drogie. A przecież staruszka mogła być pożyteczną i dla drugich miłą; cicha, spokojna, przesuwająca się po domu bez szelestu, jak cień, posiadała osobliwy dar dotykania wszelkich przedmiotów w sposób tak delikatny i lekki, że nie wydawały wcale żadnego szmeru; jej dłonie aksamitne wygładzały wszelkie nierówności.

O ileż większymi względami i pieszczotami obdarzano suczkę faworytkę, niż tę niepozorną istotę. Czyż kiedykolwiek wołał ktoś na nią: „Moja kochana, śliczna Ludko“, czyż śmierć jej byłaby opłakiwaną na równi z utratą wiernego pieska?

Ślub dwojga młodych ludzi miał odbyć się w końcu maja. Narzeczeni, zatopieni w sobie, żyli jedną myślą, jednem pragnieniem, zapominając o świecie całym.

Spóźniona wiosna, którą tłumiły dotychczas przymrozki nocy miesięcznych i mgliste, chłodne poranki, zjawiła się nagle w całej pełni.

Kilka dni gorących dokonało przewrotu w przyrodzie. Życie zaczęło żywiej krążyć w spulchnionej, urodzajnej glebie, pączki rozwinęły się jakby cudem, okrywając drzewa bujnymi listkami — powietrze przesycone było wonią kwiatów. A gdy słońce wszechwładne odpędziwszy ostatnie wilgotne opary, zajaśniało nad całą doliną, gorące jego promienie przeniknęły wszystko do około: rośliny, zwierzęta i ludzi, a ptactwo nawoływało się, bijąc skrzydłami i świergocząc niezmordowanie.

Janka z Jakóbem niewymownie byli szczęśliwi, ale czegoś onieśmieleni i trwożni; odczuwali oni te uroki wiosny po przyspieszonem biciu serc swoich. Siedzieli bez ruchu i słowa na ławeczce przed domem, przez dzień długi, wzrokiem roztargnionym błądząc po błękitnej tafli wody, na której pływały białe, majestatyczne łabędzie. Po obiedzie, wieczorem, młoda para przywrócona do pewnej równowagi, wymykała się do ogrodu pod otwarte okna saloniku, przez które widać było dwie matki przy swojej zwykłej partyi pikiety, i ciotkę Ludwikę, oświeconą blaskiem płonącej lampy i zawsze zajętą jakąś robotą dla ubogich.

Przez gęste zarośla, po za stawem, przedarł się nagle srebrny łuk księżyca. Sprzymierzeniec poetów i zakochanych rozpostarł swe drżące światło nad temi dwiema rozmarzonemi głowami, pogrążonemi w cichej, słodkiej zadumie. Długo przypatrywali się młodzi niebu, zasianemu gwiazdami, drzewom i trawnikom, obsypanym śnieżnem kwieciem, wreszcie pociągnięci czarem, pełnym melancholii tej nocy letniej, poszli zwolna w głąb szpaleru, aby uciec jak najdalej od niedyskretnych wejrzeń i głosów swego otoczenia.

Po ukończeniu czwartej z rzędu partyi pikiety, staruszki senne już trochę, miały szczerą chęć udania się na spoczynek.

— Trzeba zawołać dzieci — powiedziała jedna z nich.

Druga, wyrozumialsza, czy też więcej pobłażliwa, spostrzegłszy dwa cienie, snujące się po rozjaśnionych od miesiąca alejach ogrodu, odrzekła żywo:

— Dajmy im pokój, tak miło i pięknie na świecie! Ludwisia na nich zaczeka; nieprawdaż, siostro?

Stara panna podniosła oczy z pewnym niepokojem i odpowiedziała, jak zwykle, nieśmiało:

— A naturalnie, ja będę na nich czekała.

Dwie kobiety, upewnione temi słowy, poszły do swoich pokojów.

Wtedy ciotka Ludwika powstała z fotelu i złożywszy rozpoczętą robotę, włóczkę i druty, stanęła przy otwartem oknie, bo i ona zapragnęła odetchnąć upajającem powietrzem wiosny.

Narzeczeni chodzili teraz między klombami i stawem, nie wyszukując dróg innych i nie myśląc bynajmniej powracać pod dach. Z dłońmi, połączonemi w serdecznym uścisku, milczeli oboje, ukołysani widocznie poezyą i pięknem przyrody. Naraz Janka, zobaczywszy sylwetkę staruszki, rysującą się na tle promieni księżycowych, zawołała:

— Patrz, ciocia Ludwisia nam się przygląda.

Jakób odwrócił głowę.

— Prawda — powiedział obojętnie — ciotka nas podpatruje.

I w dalszym ciągu zaczęli marzyć, śnić na jawie, tworzyć przyszłości swojej rozkoszne obrazy!

Chłodna rosa pokryła ziemię; trawa zwilgotniała tak silnie, że młodemi wstrząsnął naraz dreszcz jakiś zimny.

— Już pora wracać — szepnęła Janka.

I pomału skierowali kroki swoje ku otwartemu balkonowi.

Wszedłszy do salonu, zastali ciotkę Ludwikę przy pracy; czoło miała pochylone nad robotą, a drobne i szczupłe jej ręce trzęsły się cokolwiek, jak gdyby od nadmiernego zmęczenia.

Dziewczyna zbliżyła się, mówiąc:

— Ciociu, pójdziemy już spać teraz.

Stara panna podniosła z trudem powieki, były zaczerwienione, nie wiadomo od pracy czy od łez może.

Nikt nie zwrócił na to uwagi. Ale Jakób dojrzał, że cieńkie buciki jego przyszłej zmoczone były doszczętnie. Przejęty obawą, zapytał tkliwie:

— Może zaziębiły się te kochane, twoje nóżki?

Ku wielkiemu zdziwieniu dzieci, ciocia Ludwisia zaczęła drżeć całem ciałem, wypuściwszy nagle z rąk kłębek z wełną, który potoczył się po podłodze, i z twarzą ukrytą w dłoniach wybuchnęła gwałtownym, spazmatycznym płaczem.

Kto zbadał kiedy tajnie, jakie ukrywają w głębiach swoich spokojne, zda się wiekuiście zadrzemane, tonie wód stojących? — Kto odgadnie, wiele na dnie żywotów ludzkich, skazanych przez nieodgadnioną fatalność na snucie nieprzerwanego wątka szarych przeznaczeń, mieścić się może niezaspokojonych pragnień, stłumionych uczuć i ciężkich buntów przeciw przeznaczeniu?

Jedna chwila, jedno „nic“ rzecby można, przebiera miarę biernego posłuszeństwa losom, a wtedy ten uległy niewolnik wybucha nagle przez lata całe tłumioną skargą, w której nie ma ni słów, ni klątwy, ni protestów żadnych, a natomiast jest jeden tylko jęk potężny, rzucający siłom twórczym to jedno straszne pytanie: Czemu?

Czemu skazano serce moje, aby nigdy nie drgnęło w takt drugiego serca — czemu niby liść zeschły, oderwany od konarów, ginę samotnie — czemu zamiast walki przeznaczono mi spokój i martwotę, a zamiast cierpień i rozkoszy, które dla innych ma życie, mnie zostawiono nicość i śmierć już z tej strony grobu?

Młodzi ludzie nie nawykli do tego rodzaju objawów u spokojnej starej panny, traktujący ją zawsze jak istotę, nic nie znaczącą, prawie upośledzoną na umyśle, bez śladu jakiejkolwiek indywidualności, poskoczyli ku niej z przerażeniem:

Szczęśliwi mają chwile takich łaskawości. Jest to z ich strony rodzajem wspaniałej jałmużny, rzucanej na ofiarę nędzy i zapomnieniu. Więcej od nich żądać, było to nierozumieć praw, wedle których wypłacamy się światu otaczającemu za szczodre dary, któremi nas obsypało przeznaczenie. Wyciągnąć dłoń pomocy ku upadającym pod dźwiganem brzemieniem, nie jest zazwyczaj rzeczą tych, dla których życie ma wszystkie uśmiechy.

Janka wzruszona, uklękła jednakże u kolan staruszki i odgarniając jej ramiona łagodnym, pieszczotliwym ruchem, pytała kilkakrotnie:

— Co się z tobą stało, cioteczko, co się stało?

Wtedy biedna kobieta, którą jeszcze wstrząsały konwulsyjne łkania, głosem nabrzmiałym łzami wyjąkała z trudem:

— Widzisz, dziecko moje... on cię zapytał z taką miłością — takim słodkim głosem... czy nie zimno twoim małym, kochanym nóżkom?... A o mnie, nieszczęśliwą nikt, nigdy... rozumiesz, nigdy nie zatroszczył się — nikt nie przemawiał do mnie w ten sposób... nigdy... nigdy...

KONIEC.

Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Masłowski.** — Papier z fabryki Czerlańskiej. — Z drukarni E. Winiarza